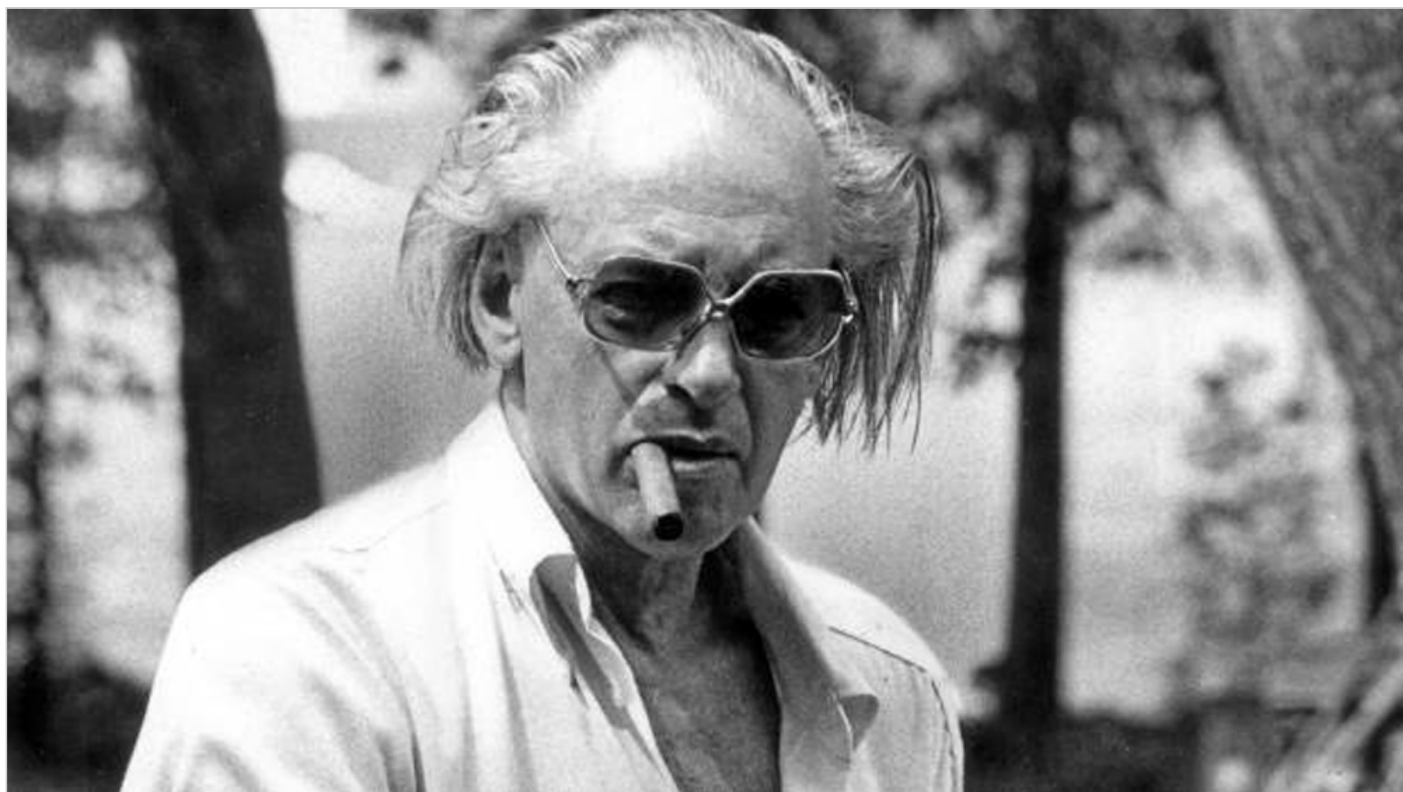


Mól w żelaznej kurtynie. Al Purdy (1918-2000).



Al Purdy

Florian Śmieja

Purdy jest wedle opinii wielu swoich ziomków ważną, a nawet centralną, postacią minionej fazy formowania się narodu kanadyjskiego oraz czołowym poetą tych doświadczeń, oryginalnym głosem kulturalnych, historycznych i politycznych aspiracji ludzi, którzy chcieli zbudować alternatywne społeczeństwo amerykańskie we współpracy Anglosasów i Francuzów, bardziej stabilne i praworządne od republiki południowego sąsiada.

Jego tomik wierszy "Moths in the Iron Curtain" (Toronto 1979) z podtytułem "Przygoda" nie należy do jego sztandarowych utworów, na co wskazuje choćby pominięcie go przez autora, kiedy układał "Poezje zebrane". Ale ten właśnie zbiorek ilustrowany fotografiami zrobionymi przez żonę, Eurithe, ofiarował mi z dedykacją rozciągniętą również na moją żonę i na młodszego syna, „piromana”, kiedy przed laty wracając z Montrealu odwiedziłem go w jego słynnym domku w Ameliasburgu.

"Mole w Żelaznej Kurtynie" to poetyckie reminiscencje z podróży Ala z kanadyjskim poetą i przyjacielem, Ralphem Gustavsonem, wraz z żonami, na oficjalne zaproszenie do ówczesnego ZSSR. W ciągu trzech tygodni pod ścisłą opieką tłumacza i bacznych pilotów kanadyjska czwórka odwiedziła Rygę, Leningrad,

Moskwę, Kijów, Taszkent i Samarkandę. Dowcipny wstęp Ala nadaje również niefrasobliwy ton wierszom. I tak w jednym z nich Al biada nad niewielką ilością napisanych w czasie podróży wierszy i proponuje swojemu towarzyszowi Ralphowi zamianę: za jeden własny wiersz chce pięciu jego tekstów, by było po równo.

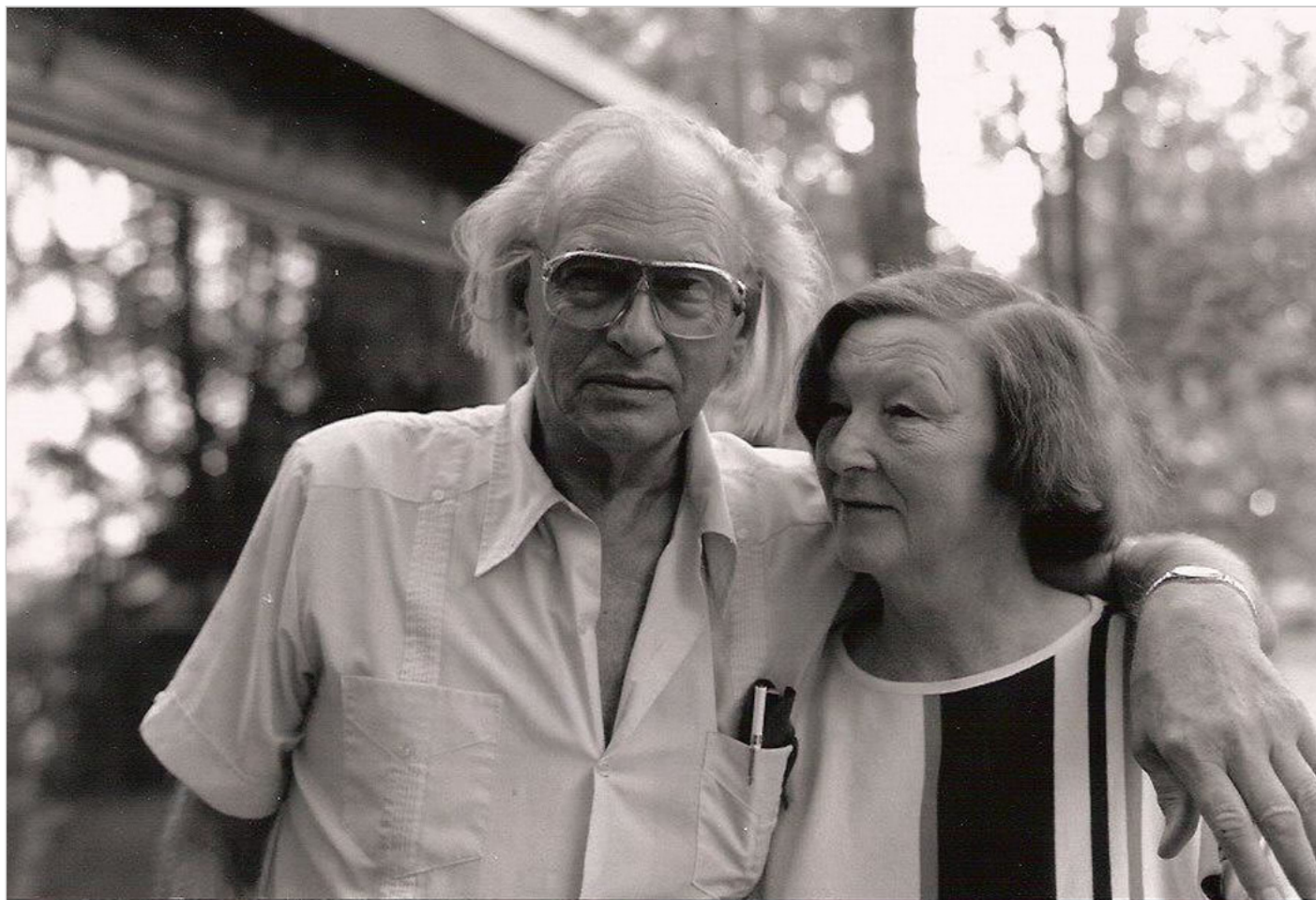
Nie stroniąc od mocnych trunków, którymi ich gospodarze raczyli, goście ograniczyli się do roli przychylnych obserwatorów respektujących zwyczaje i gusta innych. Nie umacniając Żelaznej Kurtyny, wielkiej krzywdy jej nie wyrządzili. Rzadka krytyka była okraszona humorem. Jako szermierz języka efektywnego Purdy przyrównał kwiecisty język gospodarzy do sytuacji, w której “sześć przymiotników kojarzy się z jednym biednym maleńkim męskim rzeczownikiem, co w każdym języku stanowi semantyczną poligamię”.

Alfred Wellington Purdy urodził się w ubogiej rodzinie chłopskiej w Ontario. Opuścił szkołę, kiedy miał szesnaście lat i imał się różnych prac fizycznych jeżdżąc w czasach depresji pociągami towarowymi po całej Kanadzie. Był niezwykłym zjawiskiem potężnego mężczyzny piszącego od młodych lat wiersze. W 1944 roku za własne pieniądze w Vancouverze wydał debiutujący tomik. Nie był żadnym cudownym dzieckiem, ale samoukiem z wrodzoną skłonnością do poezji i chłopskim uporem. Zaczął od naśladowania tradycyjnych poetów produkując słabe, sztuczne utwory pisane w izolacji od współczesnej sceny kulturalnej. Dużo

czytał. Z czasem zaczął studiować i poważać rówieśnych poetów jak D.H. Lawrence czy później, Irving Layton, ale poznając nowe formy trzymał się z daleka od naśladownictwa. Wierzył w swoją niezależność, nie chciał cudzych wzorców. Samodzielnie pracował wytrwale nad formą wypowiedzi i językiem. Po latach nabrał pewności i świeżego przypływu energii.

W 1960 zbudował w Ameliasburgu domek, który miał stać się jego ostoją, często z niego wyjeżdżał, ale stale wracał. Mógł wtedy też porzucić dorywcze prace i poświęcić się pisaniu. Jego poezja reprezentowała już własny głos, pełna była wigoru i swobody, powstawała na dawnych nieudanych próbach mocna i przekonująca. Poeta urobił sobie własną dykcję, jego wiersz stał się płynny i odkrywczy, zmieniał dynamikę i ton. Purdy stał się sobą, osiągnął pisarską dojrzałość. Jego wiersze posiadały moc, były szorstkie, agresywne, ale potrafiły również być delikatne. Buszował w języku odważnie znacząc oryginalną drogę. Wszystkie udane zdobycze warsztatu konsolidował, wydawał wiersze i poematy szeroko czytane, zauważane i nagradzane. W 1965 zdobył ważną nagrodę Gubernatora Kanady.

Ustaliła się też z czasem tematyka jego wierszy: Kanada, jej rozległe ziemie i ludzie, miejsca znane z dzieciństwa, ale także i wszechświat oraz podstawowe tematy jak miłość i śmierć.



Al Purdy z żoną Eurithe

Zaczęto Purdy'go uważać za modelowego poetę kanadyjskiego. Zjawiał się nagle na scenie już jako ważny poeta, respekt budzący erudyta, samouk, nieustrudzony wędrowiec ciekawy świata, człowiek aktywny. Przed sentymentalizmem i pretensjonalnością bronił się buńczuczną, zaczepną ironią. Wciągnęły go sprawy podstawowe i ostateczne. Zdaniem wielu krytyków, żaden inny poeta nie włożył tyle głęboko odczutej kanadyjskości do swoich wierszy. W jego świadomości tkwi zawsze ogrom kraju, a przy tym kruchość istoty ludzkiej na tle nieznanego i niezbadanego

prehistorii kontynentu. Poczucie przemijania łączy z koniecznością identyfikowania swojego otoczenia.

Zawsze starałem się unikać

rzeczy nieprzyjemnych

niemiłych zapachów, śmierci, fizycznego bólu

Nigdy mi się to nie udawało

kwiaty śmierdzą, piękno gnije, bogowie umierają

jak tylko uda nam się zagarnąć dla siebie

jakiś słoneczny moment i utrzymać w myśli

już się przemienia w potwora

opisywanie tych wszystkich aspektów grozy

nie jest uniwersalnym lekiem

żadną pomocą w nazywaniu rzeczy

pomimo to nazywam rzeczy po imieniu.

Ukochanie życia każe mu się zajmować najmniejszą formą bytu, którą celebruje:

Odebrać godność jakiemukolwiek bądź żyjątku
nawet kiedy nie potrafi zrozumieć obraźliwych słów
to trywializować życie samo

Uczy, że przez sztukę człowiek unika zagłady, zniszczenia ciała i ducha. Na widok dawnej broszki napisze:

Po 600 latach
myśl z kości słoniowej
jest jeszcze ciepła.

Kiedy przed laty Al przyjechał na jeden semestr w charakterze poety gościnnego na Uniwersytet Western Ontario (a byli tam wtedy tacy pisarze jak James Reaney i Michael Ondaatje),

chętnie i z wielkim respektem słuchaliśmy jego pełnego głosu wygłaszającego z radością wiersze, których wydał kilkadziesiąt tomów.

Pisanie dawało mu przyjemność, podróżowanie i wydawanie stały się pasją. Widział szmat świata, ale przede wszystkim poznał rozległe uroki Kanady, które smakował, szczególnie atrakcyjna była dla niego daleka Północ, której ludzie i ich styl życia mu imponowali. Zanotował:

Nigdy nie byłem szczęśliwszy, niż kiedy leżąc w śpiworze na arktycznej wyspie wsłuchany w rozgardiasz kaczek na szczycie świata, pisałem wiersz.

Mimo dużego dorobku i wielkich sukcesów, pozostał skromnym człowiekiem:

Jako pisarz czułem się zawsze wiecznym amatorem. Pisząc wiersze przez całe życie, nie mam nigdy pewności, że powstanie nowy wiersz, a potem okazuje się, że piszę nowy wcale nie wiedząc, jak to się stało...

Autentyczność tych słów mogę potwierdzić, gdyż czekając raz z

Alem pod bramą uniwersytetu na spóźniających się przyjaciół,
stałem się posiadaczem rękopisu dotąd nie ogłoszonego wiersza
na poczekaniu napisanego i wręzonego mi przez
zniecierpliwionego zawieszeniem poetę.

Syberyjskim szlakiem Dargiewiczów. Część II.



Ferdynand Ruszczyc, Ziemia.

Romuald Mieczkowski

Życie w posiołku

– Żyliśmy pokutniczym życiem, tworząc jakby wyklęte pokolenie. Nikt się nie cieszył, nie śpiewaliśmy pieśni swoich, z rzadka ktoś zażartował, z rzadka gościł uśmiech na twarzach naszych. W

posiołku nie było wesel, nie rodziły się dzieci, bo ludzie nie chcieli przenosić swojego nieszczęścia na potomstwo. Kwintesencją naszego istnienia było przetrwanie. Przetrwanie razem, jeśli Bóg da, bez strat, jako rodzina – powraca do wspomnień Tadeusz Dargiewicz. – Najgorzej to było na święta, człowiek zupełnie wtedy miękł, kobiety, a i mężczyźni też, wszyscy ocierali łzy. Siostra przesyłała na Boże Narodzenie opłatek. Przed oczy powracały rodzinne, nierealne teraz widoki, wizerunki krewnych. Ale jakoś trzeba było żyć – poza pracą i umęczeniem siebie wspomnieniami. Jednak o rozrywkach nikt nie myślał, a do jedyne go klubu w okolicy raczej nikt z zesłańców nie chodził. Zbierali się tam Rosjanie, niektórzy tu już urodzeni, i czuli się ze sobą zupełnie dobrze. Parę razy, jako ludzie młodzi, z ciekawości poszliśmy do klubu. Zapamiętały się mi czastuszki, które składali śpiewający o nas...

Spiecpieresielenicy narzekali, że nie ma wśród nich księdza. Prosili nawet naczelstwo, żeby im księdza z okolicy przywieść, ale przedstawiciele władzy odpowiadali, że niejednego nie zostało... Po latach potem Tadeuszowi opowiadał ksiądz-zesłaniec spod Olsztyna, jak starali się duchowni ukryć swoje powołanie. Udawali robotników, podobno specjalnie rzucali niektórzy przekleństwami, by nie wyróżniać się spośród więźniów kryminalnych, z którymi też nierzadko przebywało się razem w niektórych posieleniach czy łagrach. Zresztą w obcowaniu z władzą w „dobrym tonie” były przekleństwa...

Z braku księdza, na początku wyręczała jedna starsza pani, która odprawiała nabożeństwa majowe i inne, ale po jej śmierci nie było następców. Matka Tadeusza zabrała ze sobą książkę do nabożeństwa, więc cała rodzina miała możliwość modlenia się. Interesował się tym pewien Rosjanin, którego przodków zesłano tu jeszcze za cara, prosił przetłumaczyć niektóre modlitwy na rosyjski.

Oczywiście, władza chciała czymś innym zastąpić wiarę. Ale sowieckie święta były obce, a i w czasie ich trwania zamiast wesołości była gorycz poniewierki. Parę razy przyjeżdżało kino, takie z przenośnego generatora. Zapamiętał się film pod tytułem „Titanick”, trudno sobie wyobrazić, ale do takiej głuszy²⁷ dotarł również bestseller z tamtych czasów „Tarzan”. Były próby założenia jakiegoś kółka, teatru amatorskiego, ale nic z tego nie wyszło.

Jeśli chodzi o „rozrywki”, to w tych stronach można było jeszcze liczyć na książkę z biblioteki, ale oczywiście, po rosyjsku. O choć niektórzy szybko nauczyli się czytać w tym języku, to nawet lektury swego oprawcy były obce. Tak samo było z nauką, całe szczęście, że w rodzinie Dargiewiczów nie było kogoś w takim wieku, żeby obowiązkowo musiał pobierać nauki w sowieckiej szkole na Syberii. A te strony były dla ludzi silnych, i biada temu, kto zachorował. Z poważniejszymi przypadkami trzeba było chorego dostarczyć do miasteczka Podgornoje. Tam lekarz,

obsługujący spieczeresielwńców, miał dużą butlę jakiegoś żółtego płynu, dawał pacjentowi pół szklaneczki tego płynu niezależnie od choroby – i już miało być dobrze! Hospitalizację stosowano przy bardzo rzadkich przypadkach. Dla chorowitych trudno było o jakieś ulgi, przede wszystkim o łatwiejszą pracę. Przez cały czas zabiegał o nią Adolf Dargiewicz, autor zdjęć syberyjskich, który słabego był zdrowia i często chorował. Ulgi, jakie udało się mu załatwić, polegały na tym, że zamiast wyrębu lasu, obsługiwał wagonik, który ciągnął motowóz, przewożący ludzi, opalał w nim burżujkę, smarował osie, żeby nie zapaliły się od ciężaru przewożonych kłoców. Prawda, w wyniku przebywania w Podgorodnoje był ten plus, że mógł dokonać zakupów materiałów fotograficznych, dzięki którym zachował się dziś tak ważny przekaz z tamtych lat.

Dopiero w 1955 roku doprowadzono sieć radiową, zwaną tu toczką²⁸, a w Polsce potocznie „kołchoźnikiem”. Był to głośnik z regulatorem, przez który można było słuchać jednej stacji. Czas był nowosybirski, a z głośnika Dargiewiczowie usłyszeli też i uświadomili sobie, jak rzeczywiście jest „sziroka strana, maja radnaja.”²⁹ Tę sowiecką piosenkę nadawano każdego dnia. Jeden raz usłyszeli wypowiedź Cyrankiewicza, który mówił, że należałoby łączyć rodziny polskie, porozrzucane po świecie, i wtedy pojawiła się iskierka nadziei o bardziej konkretnych kształtach – skoro ta wypowiedź dotarła aż na Syberię, coś w tym musiało być. Powrotem żyli przez cały czas. Tym bardziej, że o

ucieczce raczej nikt nie myślał. Człowiek zginąłby w tajdze, a o szukaniu pomocy w innych posiołkach nie było mowy. Jak też poruszać się bez dokumentów w większych miastach, które otaczały gęsto łagry? Latem byli odcięci wodą, zimą – śniegami i mrozem.

Prawda, jednej osobie udało się zbiec. Jak to nie dziwne, 14-letniemu chłopcu z rodziny Krasowskich, pochodzącej z Podbrzezia. Chłopiec szczęśliwie dotarł do Wilna. Tadeusz Dargiewicz po latach spotkał go jako dorosłego mężczyznę w Giżycku, gdzie Krasowski z rodziną potem zamieszkał. Gdyby wiedział, że zostaną zwolnieni, chyba nie podejmowałby tego ryzykownego przedsięwzięcia. Gdyby wszyscy wiedzieli, że pozostaną zwolnieni po kilku latach, inaczej patrzyliby na swój los, inaczej odbywaliby swą katorgę, a może i na miejscowym cmentarzyku byłoby mniej krzyży...

Ale któż to mógł przewidzieć?



Ferdynand Ruszczyc

Powrót

W 1956 roku w posiołku Lesnaja zaczęto mówić o powrotach. Po różnych perypetiach (Adolf ubiegał się nawet o wyjazd do Moskwy w tej sprawie, ale życzliwi odradzili – taki wyjazd mógł zaszkodzić) zapadła decyzja o zwolnieniu rodziny Dargiewiczów.

Mieszane mieli uczucia, bo przestawali już wierzyć w taką ewentualność. Po pięciu latach pobytu w Syberii pogodzili się w

pewnym stopniu z przeznaczeniem, ze słyszenia wiedzieli, że może być znacznie gorzej – mieli przecież chatę, krowę, wykarczowali sobie niewielką działkę, otaczali ich dobrzy sąsiedzi. Dargiewiczom poszczęściło się – wracali jako pierwsi.

Zazdrozczono im i cieszone się jednocześnie, bo skoro jedni wyjeżdżają, to i na innych przyjdzie kolej. Wśród miejscowych byli jednak tacy, którzy namawiali zostać, bo w Polsce jest... niepewnie! Władza znowuż, ale już w innym tonie, proponowała pozostać.

- Wyjeżdżając, chcieliśmy mieć jakieś dowody naszego „dobrowolnego” pobytu na Sybirze. Szczególnie uparł się nasz „inteligent” – Adolf – i zaczął kombinować, żeby nam dali jakąś bumagę³⁰. Ale naczalstwo było nieugięte, miało swoje instrukcje i stanowczo odpowiadano: „Nie nado wam budiet.”³¹ Nasi sąsiedzi, ludzie różnych narodowości błagali: „Pamiętajcie o nas, pomóżcie i nas stąd wyciągnąć!” – wspomina Tadeusz.

Postanowili zebrać się jak najszybciej, broń Boże, żeby nie zmieniono decyzji. Kiedy wyjeżdżali, nie było mowy o powrotach Niemców, Ukraińców czy Litwinów. Sytuacja Polaków okazała się szczęśliwsza – o nich ktoś upominał się na szczęblu państwowym – choć kraj był zniewolony, to bezpośrednio nie wchodził do sowieckiego imperium.

Zebrali się więc bardzo szybko. Tak naprawdę, to nie było czego zabierać, prócz jedzenia na drogę. Choć może zabrali ze sobą za dużo ziemniaków, to potem przydały się w długiej podróży.

Odprowadzali Dargiewiczów wszyscy. Całym posiołkiem. Jakże wzruszające były pożegnania z towarzyszami niedoli! Wyznaczano sobie, przywołując najśmielsze marzenia, miejsce spotkań, obdarowywano pamiątkami. Taki prezent, w postaci zestawu – piła produkcji niemieckiej, młotek i siekierka – dostał i Tadeusz. Od Niemca, który jako płotnik uczył go tajników stolarstwa ze specjalnością wyrobu trumien. Zestaw ten dopiero niedawno zawieruszył się gdzieś w olsztyńskim garażu Tadeusza. Na drogę dostali też wódki, bo jakże bez niej przy takiej okazji! Kiedy odjeżdżali, u pozostałych szkliły się łzami oczy.

Saniami przebyli 50 kilometrów do miasteczka Podgornoje. Był jeszcze jeden współpasażer, który udawał się do miejscowego więzienia. Nawet komendant NKWD Błochin zmiękł i zaproponował, że za poduszki da konia zamiast powolnego wołu. Zgodzili się i kiedy dotarli na miejsce, czekał na nich kukuruźnik³². Razem wystartowała jeszcze jedna rodzina.

W Tomsku po raz pierwszy od lat poczuli się ludźmi. Nagła dobroć sowiecka sprawiła, że obdartusów odpowiednio „przyubrano”. Ojciec dostał kurtkę, brat też jakieś ubranie. Po raz pierwszy wyspali się po ludzku w normalnych łóżkach, dostali

posiłki, w mieście to nawet bez eskorty żołnierzy można było pójść na spacer...

Podróż do Polski trwała dwa tygodnie, jechali pociągiem osobowym, nawet z sypialnymi wygodami. Z Tomska z Polakami wyruszyły trzy wagony, po drodze doczepiano kolejne, w sumie około dziesięciu. Gdzieś w połowie drogi na wagonach wywieszono polskie sztandary. Dziwili się na stacjach ludzie, że Polska ma jeszcze swe barwy narodowe.

W wagonie konwojował – „dla porządku” – Dargiewiczów tylko jeden żołnierz. Owszem, bardzo grzeczny, wciąż pytał, czy czegoś nie potrzebują. „Niczewo nie nado nam, nie nado”³³ – odpowiadali pośpiesznie, obawiając się wciąż, że los może się odmienić, tym bardziej, że doszły słuchy, iż jedna rodzina została z sostawa³⁴ zdjęta. Może dlatego, że narzekali na swój los, powiedzieli za dużo? – zastanawiali się. Po drodze widzieli przecież niemało strasznych rzeczy. Na wszelki wypadek postanowili mówić jak najmniej i nie wyrażać żadnych odznak niezadowolenia i sprzeciwu.

W Polsce

Granicę przekroczyli w Terespolu. W ciągu tygodnia przebywali w punkcie rozdzielczym w Żurawicy. Niektórzy potrzebowali szpitala, byli wygłodzeni. Sybiraków traktowano bardzo

serdecznie, z wyrozumiałością. Ale trzeba było gdzieś się zakotwiczyć. Dargiewiczowie wyruszyli do Olsztyna, gdzie był już jeden z braci. Niestety, po tylu przeżyciach i stratach, na jakiś kąt własny nie można było liczyć. Święta Bożego Narodzenia Anno Domini 1956 witali na wolności, u brata, który ich przygarnął. Każdy dostał po tysiąc złotych zapomogi, i to było wszystko. Choć mieli tzw. Kartę, w której zapisano, żeby pomagać przybyłym, to władze podchodziły do tych z Sybiru najczęściej z rezerwą. Zaczynali więc od zera znowu, musieli mieszkać kątem u krewnych i znajomych, szukać pracy. Ale było to jednak życie na wolności.

Zaczęli powracać i inni. Po roku wrócił kolega Tadeusza Pałabis i również zamieszkał w Olsztynie. Powroty kolejnych rodzin były utrudnione: o ile Dargiewiczowie wracali na koszt państwa, to już po nich trzeba było zarobić na opłacenie podróży. A to nie taka łatwa była sprawa w tamtych warunkach, więc dorabiali, jak tylko mogli, wymagało to często niehumanitarnego wysiłku.

Różnie ułożyły się losy ich sąsiadów i znajomych z zesłania. Tacy Woronkowie, na przykład, przez lata czekali, że dzieci ich zabiorą. Tak i nie doczekali się.

Los Mieczysława

- Dzięki Bogu, mnie los oszczędził. Choć nigdy nie byłem atletą,

to zdrowie dopisywało, podobnie innym braciom. Ale nie wszystkim. Jak już opowiadałem – wyjaśnia Tadeusz, – brata Bronisława zastrzelił policjant. Najwięcej dostawało się Mieczysławowi – choć dobrze był zbudowany, wysoki. Niemcy go aresztowali w czasie wojny i chcieli wywieźć, czekali na decyzję w Rudominie. Ale jakoś udało się rodzicom temu zapobiec. Mieczysław był bardzo pracowity, prawdziwy gospodarz. Z drugiej strony – niezwykle wrażliwy. Kiedy przyjechali zabrać ostatnią krowę, tak bardzo się przejął, nie oddawał, więc enkawudziści starali się „zastraszyć” go, strzelali w jego stronę, a potem związali powrozem ręce. Kiedy zbliżały się wywózki, uciekał. Dostał silnej nerwicy, nie było żadnej możliwości leczenia. W tym czasie ktoś spalił kolchozową stodołę w Rybniszkach, gdzie były zmagazynowane narzędzia rolnicze, zabrane u miejscowej ludności. Na to Mieczysław ucieszył się i powiedział: „Czyżby przychodzi koniec na bandytów?” Coś w nim pękło, zabarykadował się w dużym domu w Baraszkach, przychodził tylko na wspólne posiłki, sposepniał. Kiedy nas w 1951 roku zabierano, stał się agresywny, mógł nawet schwycić za siekierkę... Więc sprowadzono większą siłę, Mieczysław zaczął uciekać, prawdopodobnie do siostry Anastazji, która była mężatką i mieszkała w Solecznikach. Dogonili go akurat naprzeciwko domu pana Konopnickiego i tak zbili, że już nigdy nie odzyskał świadomości. Nawet na Sybir go nie zabrali, bo i komu taki był potrzebny? 40 lat przebywał w szpitalu dla umysłowo chorych w Nowej Wilejce. Po latach nie poznawał

nikogo, nie mówił nic, gdy go odwiedzaliśmy, nawet nie brał od nas jedzenia. Zmarł samotnie w jakimś miasteczku na północnej Litwie. Nie zostaliśmy nawet powiadomieni o jego śmierci, dowiedzieliśmy się o tym dopiero w grudniu 1994 roku. Kiedyśmy napisali list do litewskiego ministerstwa, nie żył od ośmiu miesięcy. Po naradzie z bliskimi postanowiliśmy go godnie pochować i przewieźliśmy jego prochy na cmentarz na Rossie. Spoczął obok brata Bronisława – kończy gorzką opowieść Tadeusz.

Zapamiętał go jako przystojnego mężczyznę. W 1951 roku Mieczysław miał 20 lat, po małżeństwie marzył o dużej, zasobnej gospodarce.

Los najbliższych

Rodzice Tadeusza Dargiewicza zmarli w Polsce, dożywając sędziwego wieku. Zmarł też w Gdańsku brat Tadeusza Franciszek. Adolf, „fotograf sybirski” i człowiek o zacięciu artystycznym, mieszka w Białymstoku, Wilhelm – żołnierz AK, uniknął Syberii i w 1945 przyjechał do Olsztyna, siostra Maria dostała się do Polski również w 1945 i osiadła w Gorzowie Wielkopolskim. Inna siostra – Anastazja Zieniewicz, już w czasie wojny była mężatką i to ją uratowało od wywózki. Dziś mieszka w Wilnie.

I wreszcie Tadeusz, którego opowieść w dużym skrócie próbuję utrwalić. Chciał zawsze się uczyć, ale nie sądzone mu było. Pracował jako robotnik, ślusarz, konserwator maszyn krawieckich. Nie narzeka, jest pogodnego usposobienia, bez emocji opowiada, że przez długie lata nikogo nie obchodziły ich syberyjskie losy, władza udawała, że tej tragedii nie było. Ożywia się, kiedy mówimy o działalności Związku Sybiraków, którego jest członkiem. Tak, spotykają się często. Uczestniczą w nabożeństwach, coraz częściej w pogrzebach, biorą w nich udział księża-katorżnicy. Ulgi? Drobne są. Nie płaci za telewizor, radio. Są pewne zniżki kombatanckie.

Tadeusz często myśli o Wileńszczyźnie, interesują go wieści z Litwy. Cieszy się, że jest ona wolna. To co było, nie wróci – powiada. Zresztą i z osady nic dziś nie pozostało. To miejsce porosło brzoškami. Nadzieja w przyszłości – uważa – w kontaktach nowego rodzaju między dziećmi wychodźców z Wileńszczyzny w Polsce a Polakami, którzy na niej zostali.

Zafascynowana miastem nad Wilią jest jego córka Elżbieta, udzielająca się w Towarzystwie Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej. To dzięki niej poznałem swych krewnych. Ela posiada mnóstwo zdjęć z Wilna i okolic, zawsze przyjeżdża „głodna” wrażeń i wiedzy o tych stronach. Jest pedagogiem. Tytuł jej pracy magisterskiej, którą obroniła w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Olsztynie, brzmi: *Monografia polskiej szkoły*

średniej im. A. Mickiewicza w Wilnie. W tej szkole spędziła wiele czasu, chcąc poznać potrzeby i możliwości naszego szkolnictwa. Pragnie współpracy młodego pokolenia i częstszych kontaktów wzajemnych.

Przedstawiłem mały tylko wycinek życia Dargiewiczów w burzliwych i okrutnych czasach terroru. Zdaję sobie sprawę, jak niepełna jest ta opowieść. Bo i czyż można ogarnąć los ludzki w czasie krótkiego spotkania? Jako „kronikarz” tych ziem, będę chciał się przyczynić, aby ocalić od zapomnienia złożone i tragiczne losy ludzi wywodzących się z Wileńszczyzny – wszak nie ma rodziny, którą by oszczędziła gehenna wojny i późniejszych „porządków”.

¹ *niekrasowej żenszcziny* – brzydkiej kobiety (ros.).

² *pogołowno* – dosłownie: co do głowy, wszystkich, co do jednego (ros.).

³ *parsiuczek* – prosiak (gwara wil.).

⁴ *spiecpieresieleniec* – przesiedleniec o charakterze specjalnym (ros.).

⁵ *barża* – barka (ros.).

⁶ "Matko, u nas kula kosztuje cztery kopiejki, a ty i tak tutaj zdechniesz. Za darmo." (ros.).

⁷ *Niurskij Lesozagotowitielnyj Punkt* – Niurski Punkt Skupu Drewna (ros.).

⁸ *uczastok* – dcinek (ros.)

⁹ *posielenije* – osiedlenie, zesłanie (ros.).

¹⁰ *nadziratel* – dozorca, obozowy (ros.).

¹¹ *bumaga* – papier, dokument (potocznie, ros.).

Anatomia drzewa



The Gate, Land Art Festival, Poland, fot. Jowita Mormul.

Z rzeźbiarzem Ryszardem Litwiniukiem rozmawia Małgorzata P. Bonikowska.

Niezwykłe formy wykonane z drewna, ukazujące jego faktury, kształty – zapadające w pamięć, budzące refleksje. To rzeźby Ryszarda Litwiniuka, artysty, który przez lata tworzył w Kanadzie, kraju drzew i lasów, a od paru lat mieszka znowu w Polsce. Tam pracuje, wystawia i uczestniczy w wielu ciekawych projektach.

Małgorzata P. Bonikowska: Pracujesz w drewnie. Dlaczego –

co jest takiego w tym materiale?

Ryszard Litwiniuk: Drewno zawsze mnie fascynowało. Zawsze lubiłem jego zapach, strukturę, fakturę, miękkość. Rosnące drzewo jest pełne dumy i majestatu... Ścięte drzewo ma w sobie wiele pokory, dalej pozostając sobą – jest drzewem. Przez lata pracując z drzewem – lub drewnem, jak kto woli – wiele się nauczyłem i myślę, że ta osobista relacja, mój dialog z naturą daje mi większe i pełniejsze zrozumienie. Nie ścinam drzew. Pracuję w pniach odnalezionych lub mi ofiarowanych do projektu, instalacji, czy rzeźby. Staram się podchodzić do mojego drzewa, drewna, kawałka materiału z należytych szacunkiem, harmonią i zrozumieniem. W swoim procesie pracy staram się otwierać drzewo, zmienić je, przetransformować, przedłużyć jego egzystencję w innej, nowej formie... Mojej własnej. Świeżo ścięte pnie są dla mnie żywą tkanką, żywą materią, do której w danym momencie uzurpuje sobie prawo ingerencji. Z chirurgiczną precyzją, zrozumieniem i uwagą. Interesuje mnie jego struktura, masa, objętość – coś co nazywam “anatomią drzewa”... To jest to co odkrywam, eksploruję, co wykorzystuję i staram się pokazać. Pokazać to co niedostrzegalne, co jest w środku. Tego nie widać. Widzimy często tylko jego korę, skórę, zewnętrzną fakturę materii. Otwierając drzewo pokazuję coś co jest ukryte, niewidoczne, niewidzialne, często zapomniane, lekceważone, ignorowane...

M.P.B.: Twoje rzeźby są jakby częścią przyrody. Jak opisałbyś tę relację?

R.L.: Oczywiście, moje rzeźby są częścią przyrody. Nie mają wyjścia, po prostu są. Istnieją. Mają swój własny byt i tożsamość nie tylko z racji materiału jako części natury, ale z kontekstu miejsca, relacji przestrzennych, okoliczności powstania itp... Myślę, że te dwa aspekty – czasu i miejsca odgrywają dla mnie ważną rolę. Determinują cały proces – moje decyzje w trakcie pracy, obserwacje. Często też pomaga wiedza odnośnie tradycji, historii, kultury, archeologii, etc. Wiele z moich realizacji powstało w różnych zakątkach świata, kiedy to ja byłem jakby obcym i w kontekście tych relacji starałem się odnaleźć harmonię. Z jednej strony zawrzeć coś własnego, a z drugiej odkryć coś co będzie ponad czasem i miejscem... Jakiś pierwiastek uniwersalny, ważny dla mnie “tu i teraz”.

M.P.B.: Od dłuższego czasu jesteś w Polsce. Co tam robisz artystycznie?

R.L.: Tak, jestem w Polsce. Wróciłem po latach z Kanady. Nie czuję się tu jako obcy, intruz, czy powrotny imigrant. Jedyna różnica, która wydaje mi się zasadnicza, to ta, że znowu mówię w swoim języku i wszystko co widzę jest bardziej swojskie, własne, moje. Nie mówię, że Kanada była mi obca językowo czy kulturowo. Była inna. Teraz od kilku lat staram się odnaleźć

swoje miejsce w kraju, z którego świadomie i z własnej woli wyjechałem. Pytasz mnie co tu robię artystycznie... Wiele rzeczy się wydarzyło. Obecnie przygotowuję moją jubileuszową retrospektywną wystawę w Galerii EL w Elblągu. Dwie inne wystawy, które miałem w planie wcześniej w Warszawie i Toruniu, z przyczyn organizacyjnych nie będą mogły się odbyć... Obecnie pracuję nad kilkoma innymi projektami, a z wcześniejszych wydarzeń i realizacji chciałbym wymienić projekt na Biennale w Luksemburgu, cztery projekty w Niemczech, następnie Bułgaria, Finlandia, Szwajcaria, oraz Polska - Kozłówka i Gdańsk. W tym roku, projekt w kamieniu na Cyprze oraz w Niemczech. W Polsce instalacja na 6. edycji Land Art Festival nad Bugiem, oraz udział w Międzynarodowej Wystawie Sztuki Ziemi w Kunsthalle- Mucsarnok w Budapeszcie (www.mucsarnok.hu / www.kunsthalle.hu). Dołączam moje podziękowanie dla kuratora Johna K. Grande'a za zaproszenie do tego projektu. Z wydarzeń konkursowych, o których chciałbym jeszcze wspomnieć, to pierwsza nagroda w Ogólnopolskim Konkursie Rzeźby rozpisany przez miesięcznik dla profesjonalistów "Drwal" - dla artystów rzeźbiarzy pracujących piłą łańcuchową, oraz druga nagroda w Konkursie Konfrontacje Sztuki w Warszawie prowadzonym przez Galerie Test, oraz Mazowiecki Instytut Kultury. W tym konkursie otrzymałem nagrodę specjalną przyznawaną i fundowaną przez Rektora Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie.



The Gate, Land Art
Festival, Poland, fot.
Jowita Mormul.

M.P.B.: Ostatnio uczestniczyłeś w ciekawym artystycznym projekcie Land Art Festival. Na czym on polegał?

R.L.: Było to długo wyczekiwane, oczekiwane moje przebywanie na tych terenach... Od kilku lat nie udawało mi się tam być i czynnie uczestniczyć w poprzednich edycjach Land Art Festival z różnych przyczyn. W tym roku udało się zgrać terminy i przyjechałem tam z dwudniowym spóźnieniem, bezpośrednio z

naszej zachodniej granicy nad Odrą, gdzie realizowałem mój projekt "The Bridge" w Hoyerswerda w Niemczech. Nastąpiło tu fantastyczne sprzężenie czasowomiejscowe – dwie rzeki, dwie granice, na zachodzie i na wschodzie w tym samym czasie, w tym samym roku praktycznie z marszu... Wróciłem w rodzinne strony mojego Taty, który urodził się w tych stronach w okolicach Białej Podlaskiej, skąd pochodzi moja rodzina i gdzie jeszcze do dziś mieszka sporo Litwiniuków. Na 6. edycji Land Art Festival na przełomie Bugu w przepięknym dziewiczym terenie Janowa Podlaskiego i Bubla miałem okazję zrealizować mój projekt "The Gate" bezpośrednio na współczesnej wschodniej granicy – na Bugu. Był to dla mnie wyjątkowy powrót do korzeni, do rodzinnych stron, do miejsca gdzie rzeka płynie od wieków, a granica wytworzona współcześnie dzieli kraje, terytoria, krajobrazy. W moim przypadku było to o tyle istotne, że w miejscu, które wybrałem do pracy i instalacji mojego projektu, stoi słup graniczny – 217. Jest on częścią krajobrazu, jest też również częścią widokową mojego projektu. Oba te elementy istnieją w tej samej przestrzeni, a po drugiej stronie Bugu w prostej linii patrząc przez moje Wrota, widać graniczny słup białoruski... Na osi wschód-zachód tworzy się prosta linia z moimi otwartymi pośrodku wrotami – The Gate – zapraszające, witające, otwarte. Pierwszy projekt na zachodniej granicy realizowany był pod hasłem "Integration", a drugi, na wschodzie, pod hasłem "Home"... Chciałbym podziękować organizatorom tych artystycznych wydarzeń – zarówno miastu Hoyerswerda w

Niemczech, jak również Fundacji Latająca Ryba w Polsce za możliwość realizacji moich instalacji bez granic... (www.landart.lubelskie.pl – Fundacja Latająca Ryba)

M.P.B.: Co ciekawego dzieje się w sztuce w Polsce? Czy wiele się zmieniło od czasu, kiedy tam żyłeś na stałe?

R.L.: Na to pytanie trudno jest jednoznacznie odpowiedzieć... Wiele się dzieje – wiele zmian w administracji, galeriach, tworzą się nowe miejsca, nowe pokolenia aktywnych artystów, marszandów, kolekcjonerów. Bardzo popularne są aukcje dzieł sztuki organizowane przez domy aukcyjne oraz prywatne galerie. Odchodzą dawni mistrzowie, tacy jak Jurek Kołacz, Mitoraj, Fangor, a ostatnio Geno Malkowski... Jak w każdym kraju, w każdym miejscu na świecie, następują zmiany. Pojawiają się nowe wydarzenia, nowe zjawiska, nowe elementy artystycznego krajobrazu...

M.P.B.: W którym kraju czujesz się lepiej jako artysta? Chodzi mi o to, gdzie jest lepiej artystom, gdzie jest większe wsparcie, lepsza społeczność do współdziałania itp.

R.L.: Myślę, że każdy może czuć się dobrze tam, gdzie może wykonywać swoją pracę.

M. P.B.: Czy zostajesz na zawsze w Polsce?

R.L.: Na to pytanie wolałbym nie odpowiadać bezpośrednio i kierunkowo, w myśl starego dobrego powiedzenia – “Every place is a good place to live”... Znając swój charakter wagabundy oraz moje podróżnicze pasje – mogę tylko powiedzieć, że nic nigdy nie wiadomo... Realizuję swój program “Open Concept Project” i wszystko jest otwarte. Nigdy nie wiadomo co przyniesie kolejny dzień. Najważniejsze jest Tu i Teraz...

Ryszard Litwiniuk – urodzony w Olsztynie w 1966 roku, w 1992 roku ukończył Akademię Sztuk Pięknych w Gdańsku (dyplom w pracowni prof. Edwarda Sitka). W 1994 roku otrzymał prestiżowe stypendium: “Grant of the Pollock- Krasner Foundation Inc., New York, USA”. Wielokrotnie nagradzany za swoją twórczość artystyczną. Ma na swoim koncie dziesiątki wystaw indywidualnych i zbiorowych.

Wywiad ukazał się w „Gazecie” w Toronto, w październiku 2016 r.: <http://www.gazetagazeta.com/-2016/10/anatomia-drzewa/>

Linki:

www.RyszardLitwinuik.blogspot.com

www.nonviolence2.blogspot.com

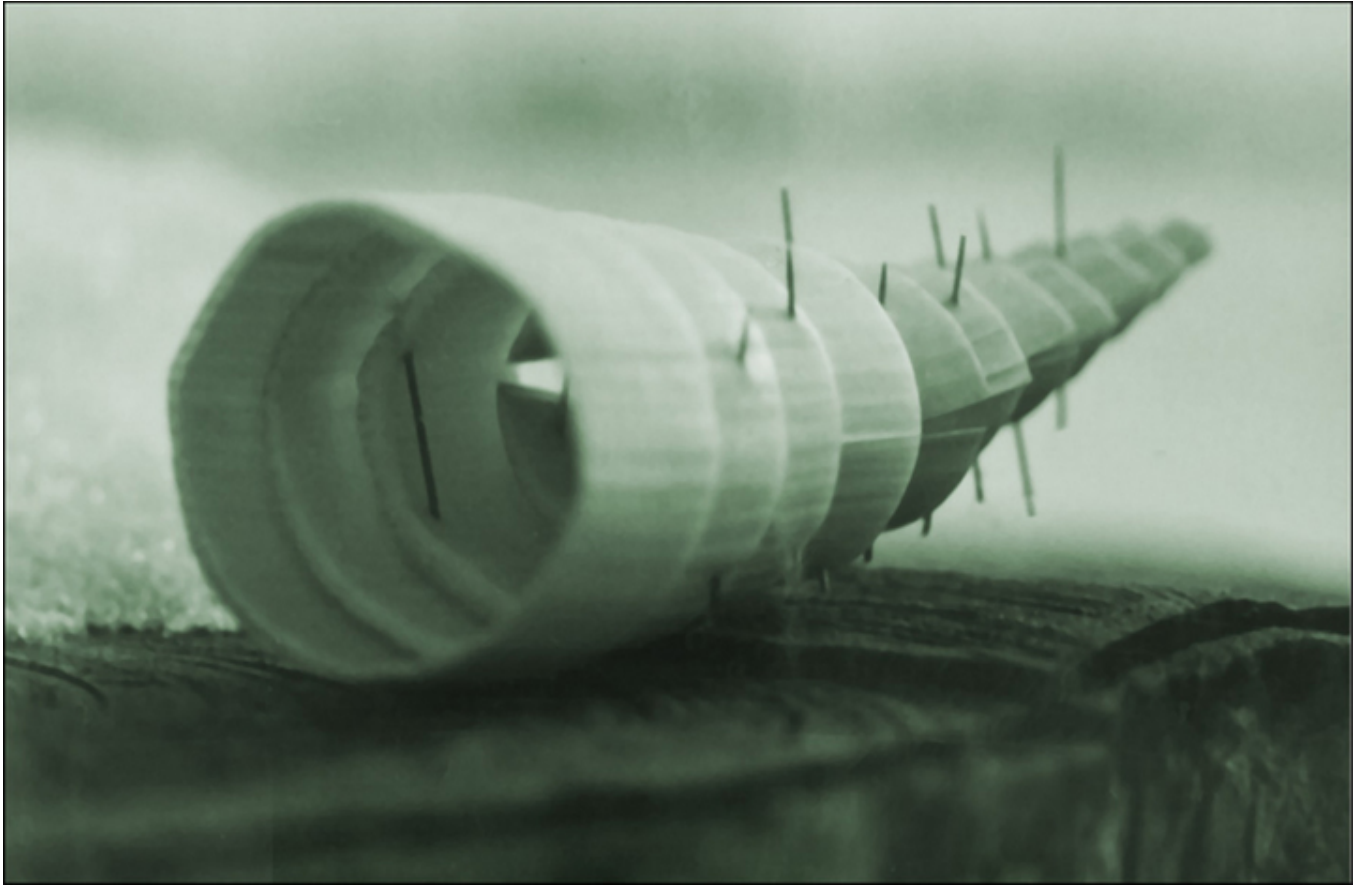
www.artinnatureresidency.blogspot.com

www.landart.lubelskie.pl/landart_gallery/the-gate-2/

Galeria

Rzeźby Ryszarda Litwiniuka w skali micro









Ryszard Litwiniuk – rzeźbiarz natury

**Od 19 stycznia do 26 lutego 2017 r. w Centrum Sztuki
Galeria EL w Elblągu trwa retrospektywna wystawa prac
Ryszarda Litwiniuka „System otwarty”.**



Ryszard Litwiniuk, The Gate, Land Art Festival, Poland.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Rzeźba, to nie tylko forma nadana stałej materii, to nie tylko zagłębianie się w tworzywo i wyłuskiwanie kształtów własnej wyobraźni, ale również odkrywanie świata, mikrokosmosu, praw rządzących istnieniem i wszelkich mechanizmów stojących u podstaw każdej formy życia. Ryszard Litwiniuk w swojej pracy twórczej wędruje w głąb świata przyrody, aby dotrzeć do esencji życia, tkwiącej na dnie molekularnych cząstek. Stworzone przez niego formy żyją, mimo, że zastygły w bezruchu. Artysta posługuje się naturalnymi materiałami, dostępnymi w miejscu pracy. Powstają więc obiekty piękne, monumentalne, stojące na wolnym powietrzu lub wijące się w salach galerii, statyczne lub dynamiczne, skończone lub nieskończone, idące w głąb czasu czy szeroko obejmujące przestrzeń, ale wszystkie, za pośrednictwem sztuki, stały się inną formą życia. W pracy Ryszard Litwiniuk dostrzega istotne elementy, z których kształtuje swoją wizję świata – natura jest jego tworzywem, a siły natury często jednym z narzędzi. Wykorzystuje więc takie materiały jak ziemia, trawa, woda, śnieg, lód i narzędzia takie jak np. ogień. Zapala lodowe bloki, by podczas trwającego kilkanaście minut happeningu, ogień dostał się w głąb zamrożonych brył i uformował naturalne kształty. Ustawia w szeregu puste, gdzieniegdzie pęknięte, metalowe postumenty, napełnia je fasolą i zalewa wodą. Nasiona kiełkują, postumenty pękają, a wynikiem wyobraźni artysty i energii natury jest szereg zjawiskowych

form, stworzonych w procesie powstawania życia. Archeologiczne wykopaliska na tyle zainspirowały Litwiniuka, że pokusił się o podróż w czasie.

Truso – osada z IX wieku, gdzie uprawiano rzemiosło i handel, odkryta w 1982 roku, stała się jednym z największych sukcesów polskiej archeologii w ostatnim ćwierćwieczu. W 1997 roku na międzynarodowym sympozjum TRUSO'97 – „Signs of Duration” (Znaki trwania) odbywającym się w Galerii EL w Elblągu, Ryszard Litwiniuk, współorganizator, kurator pleneru i jednocześnie uczestnik, pokazał serię „Inwazja”, która stała się wymownym dotknięciem historii przez inny czasowo świat. Odarte z kory gałęzie wierzby, umieszczone na sarnich nogach, stojące wzdłuż strumienia na zboczu pagórka, sugerowały obce istoty, które pełne czujności poruszają się w kierunku nieokreślonego celu, z niepokojem badając nowo odkryty ląd. W tym samym roku, w Voullerim w Szwecji (fINIK's Experimental Symposium, Sweeden) artysta stworzył opowieść na temat przeszłości kamienia „Six Thousand Years – Story of the Stones” (sześć tysięcy lat – historia kamienia). Tutaj także zainspirowały go odkrycia archeologiczne. Wydawało by się, że na dalekiej północy, prawie na kole polarnym, ze względu na klimat nigdy nie mieszkał człowiek. A jednak 6 tysięcy lat temu kwitła tam wspaniała cywilizacja. Zrekonstruowane osady, odkopane domy wskazują na ślady życia i ludzkiej egzystencji. Najbardziej trwałym pomnikiem historii okazał się w tym przypadku kamień.

Artysta wykorzystał prostą, ale wymowną formę – smukłe wysokie drzewa wznoszące swe ramiona od ziemi w kierunku nieba, trzymające w górze kamienie, jakby chciały je podarować w hołdzie Bogom. Kamienna procesja jest postępująca, kolejny układ drzew – rąk z kamieniem, jest coraz wyższy. Wyrastające z ziemi struktury w rytualny sposób oddają też hołd ziemi – miejscu swego pochodzenia. Prosta forma i minimalny materiał nawiązują wymowny dialog ze środowiskiem.

Od pewnego czasu głównym terenem eksploracji twórczej Ryszarda Litwiniuka stało się drzewo – potężne, monumentalne, życiodajne, długowieczne, ale i łatwopalne – pełne syntez, symboliki. Seria drewniana, podobnie jak inne serie, cały czas ewoluuje. Wcześniejsze prace artysty były kinetycznymi transformacjami – rzeźby wykonane w drewnie miały wygląd form ludzkich z ruchomymi elementami, a w kolejnych etapach twórczych ruch został zatrzymany, przekształcając energię kinetyczną, w inną formę życia. W 1998 roku podczas sympozjum we Francji artysta zrealizował projekt pt. „Renesans”. Był nim ścięty i przewrócony 150 letni dąb, przymocowany do ułamanego pnia pojedynczym, drewnianym kołkiem. Praca poprzez próbę odtworzenia naturalnego wzrostu i energii, uchwyciła esencję natury, którą się sztucznie fabrykuje i ingeruje.

W naturalnym środowisku, w lesie, życie ciągle się zmienia, drzewo stojąc niemo czeka na ścięcie. Poprzez transformację

dostaje drugie życie, trwałe. „Renesans” jest jednym ze świadectw na przyszłość i ciągłość uzyskaną za pośrednictwem sztuki.

W tym roku ma miejsce retrospektywna wystawa prac artysty w Galerii EL w Elblągu. Relacja z wystawy i prezentacja albumu ukaże się w marcu. A w piątek, 3 lutego będzie można przeczytać wywiad Małgorzaty P. Bonikowskiej, na temat najnowszych dokonań Ryszarda Litwiniuka, który po wielu latach mieszkania i pracy w Kanadzie, zdecydował się powrócić do Polski, aby stąd podbijać świat.

Wywiad telewizyjny z otwarcia wystawy w Galerii EL w Elblągu:

<http://www.truso.tv/wiadomosci/45133,czlowiek-z-drewna>

Galeria

Instalacje



The Bridge Hoyerswerda, Germany.



The Bridge Hoyerswerda, Germany.



Ryszard Litwiniuk, The Smile, Bad Schlema, Germany.



Ryszard Litwiniuk, The Nest, Kozlowka, Poland.



Ryszard Litwiniuk, The Source, Thyon. Switzerland.



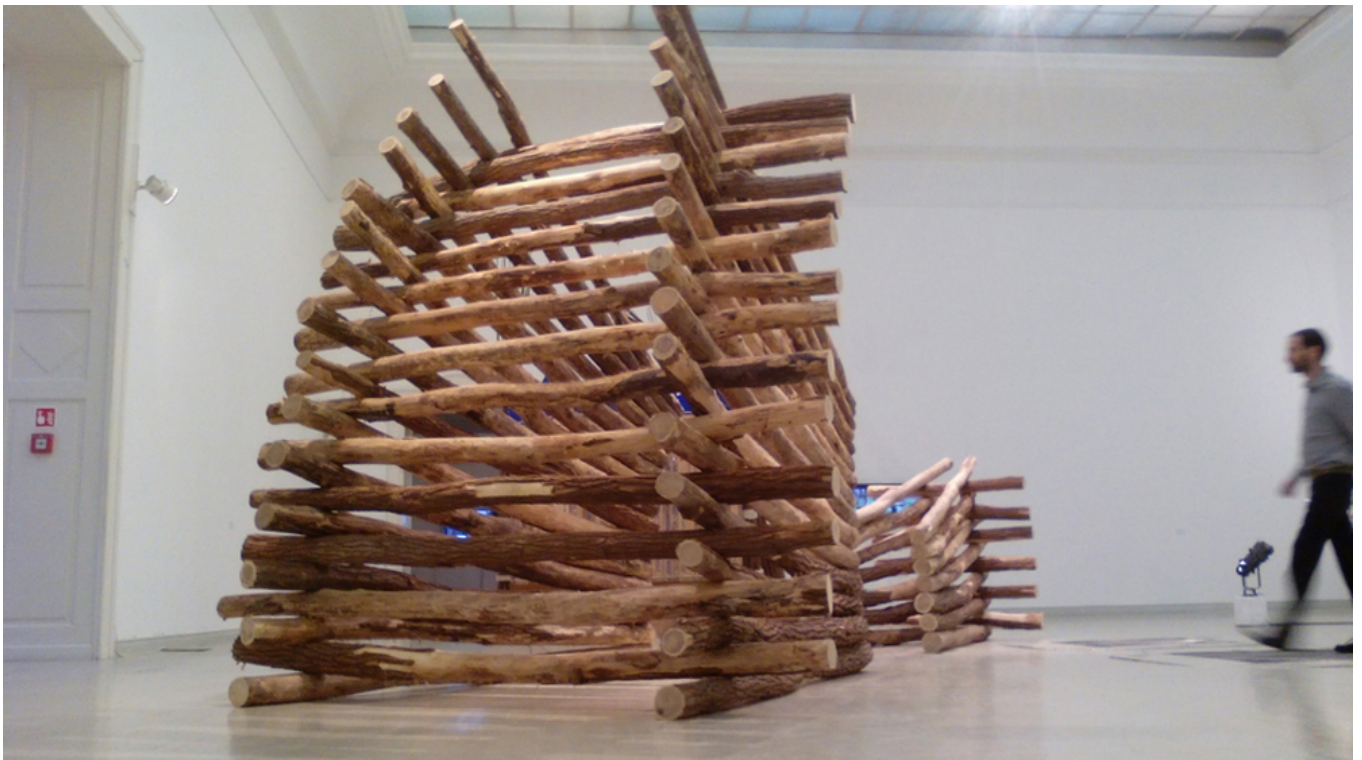
Ryszard Litwiniuk, Two Towers, Gdansk.



Ryszard Litwiniuk, Tower, Kozlowka.



Ryszard Litwiniuk, Dead Tree, Project McMichael Canadian Art Collection 2011.



Koza, kurz i trociny



John Sloan, McSorley's Back Room, 1912 r.

Dariusz Pawlicki

W manhattańskiej East Village, przy Wschodniej 7 Ulicy, mieści się coś, moim zdaniem, wartego zobaczenia; i to z bardzo wielu powodów. Mam na myśli pub, którego pełna nazwa brzmi McSorley's Old Ale House. Jest to prawdziwa instytucja pośród pubów nowojorskich, których są setki. Żadnemu zresztą nie poświęcono tyle uwagi w rozmaitych przewodnikach i Internecie, co właśnie McSorleyowi. Jest on także obowiązkowym punktem na trasach wszelkich „wędrówek” po lokalach tego typu w Nowym Jorku. Także tych organizowanych dla turystów z udziałem przewodnika.

*

Wnętrze McSorleya pogrążone jest w półmroku. Drewniane ściany, od jednej czwartej ich wysokości, pokryte są szczelnie obrazami, rysunkami, grafikami, fotografiami. Z tym, że dekorację ściany za długim kontuarem tworzą setki przedmiotów pokrytych warstwą kurzu: lasek, hełmów, kasków, czapek, figurek rozmaitej wielkości, fajansowych kufl i talerzy, miedzianych i cynowych dzbanów, zdjęć (w tym bywalców pubu), fragmentów urządzeń technicznych.

Wspomniany kontuar, jak również krzesła i stoliki są drewniane. Przy czym te ostatnie tak są zużyte, że sprawiają wrażenie użytkowanych od początku istnienia lokalu. Podłogę pokrywają świeże trociny – to tradycja pubu. Na jej środku stoi koza, która

w chłodne dni jest źródłem ciepła. W ustawionym na niej dużym czajniku, przy okazji, gotuje się wodę na herbatę.

*

McSorley's Old Ale House został założony w 1854 r. przez Johna McSorleya (zmarł w 1910 r. w wieku 87 lat). W początkowym okresie istnienia pubu, do jego stałych bywalców należał Abraham Lincoln. A wiek później wpadał tu na piwo, ilekroć był w Nowym Jorku, John F. Kennedy. Lokal ten nie kojarzył się jednak nigdy z politykami, ale przede wszystkim z artystami, literatami. Właśnie oni, przynajmniej od początku XX w., uznali to miejsce za swoje. I tak, przykładowo, malarz John Sloan, w latach 1912-1930, organizował w McSorleyu wystawy swoich obrazów. Zresztą utrwalił wewnątrz pubu, jak i jego gości, na dwóch obrazach olejnych*. A Joseph Mitchell publikował w znanym miesięczniku *The New Yorker* szkice poświęcone bywalcom tego lokalu i zdarzeniom, które miały w nim miejsce; tematów mu nie brakowało. Po latach teksty te złożyły się na książkę *McSorley's Wonderful Saloon*. Bywalcem McSorleya był również poeta Edward Estlin Cummings. W jego pierwszym tomiku *Tulips and Chimneys*, opublikowanym w 1923 r., znalazł się wiersz bez tytułu, zaczynający się od słów: „Siedziałem w McSorleyu”. W latach 50. i 60. ubiegłego wieku czytali tu swoje utwory poeci związani z ruchem beatnikowskim i hipisowskim. W tym też okresie lokal często odwiedzał pieśniarz folkowy, bard

Woody Guthrie. W następnej zaś dekadzie – przybysz zza Atlantyku, John Lennon. Źródła milczą jednak na temat tego, czy Guthrie i Lennon prezentowali tu swe umiejętności muzyczne i wokalne.

*



McSorley's, rys.
Ryszard Sawicki.

Popijając kolejne piwo, słysząc w tle przyciszony gwar, stopy opierając o podstawę kozy, można pisać list, umieszczając w nim, na bieżąco, informacje dotyczące miejsca jego powstawania. Można też zapisywać kolejne wersy jakiegoś wiersza. Do tworzenia takiego utworu zainspirować może, na przykład, widok

trocin rozsypanych na drewnianej podłodze, kurz pokrywający wspomniane przedmioty wiszące za kontuarem (im bliżej sufitu tym jego warstwa jest grubsza. Tworzą się nawet niewielkie, jakby sople), deski podłogi wytarte przez pokolenia bywalców. Pobudzić twórczo może również któreś z mnóstwa zdarzeń, jakie miały miejsce w McSorleyu w ciągu przeszło 150 lat jego istnienia. Nie można też wykluczyć, że w nocy, pomiędzy klientami, przesiadują duchy dawnych miłośników tego miejsca. A jeśli tak, to są wśród nich duchy poetów, którzy niegdyś zamawiali kolejne piwa i ... opierając stopy o podstawę kozy, pisali listy do przyjaciół bądź wiersze.

McSorley w weekendy należy do tych, którzy w dni powszednie nie mają czasu w nim bywać. Przebywają bowiem wtedy, i to długo, w tych miejscach na Manhattanie, gdzie zarabia się dużo, albo bardzo dużo. Natomiast od poniedziałku do piątku, we dnie i noce, można tu zastać liczne osoby, które żyją na zwolnionych obrotach, dla których czas, to nie tylko pieniądź. Wśród nich jest wielu brodaczy. Jeśli chodzi o mnie, to w każdym posiadaczu brody, którego zobaczę w tym pubie, widzę poetę. Gdyby nawet okazało się, że któryś z nich jednak wierszy nie pisze, to z pewnością interesuje się poezją. Najbardziej zaawansowani wiekowo z tego grona, przychodzą tutaj, tak jak przychodzili w połowie XX w., gdy w McSorleyu zaczęto czytać wiersze (w innych pubach i barach East Village i Greenwich Village działa się zresztą podobnie).

Siedząc przy oknach można spoglądać na biegnącą prostopadle uliczkę – Taras Shevchenko Place. Upamiętniając w ten sposób największego poetę ukraińskiego, nawiązano równocześnie do poetyckich tradycji East Village, jak i do tego, że zachodni fragment tej dzielnicy nosi nieoficjalnie nazwę Little Ukraine. Mieszka w nim bowiem kilkadziesiąt tysięcy Ukraińców i Amerykanów pochodzenia ukraińskiego.

*

W McSorleyu podaje się tylko dwa rodzaje piwa: jasne i ciemne. Jest ono warzone według receptury Johna McSorleya. Jeszcze nie tak dawno odbywało się to w małym browarze znajdującym się na zapleczu pubu. Obecnie piwo jest dowożone.

Warto wspomnieć, że McSorley's Old Ale House należał do jednych z ostatnich nowojorskich lokali z wyszynkiem, do których nie miały wstępu kobiety. Zmieniło się to w 1970 r.

*

Obecność McSorleya, ale nie tylko tego lokalu, w krajobrazie Nowego Jorku, stawia pod znakiem zapytania, żywione powszechnie przekonanie, że jest to miasto zapatrzone w przyszłość, co najwyżej zerkające na teraźniejszość. Okazuje się bowiem, że istnieje również stary Nowy Jork. To fakt, że jest

niewielki i nie rzuca się w oczy. Jednak, gdy ktoś zacznie uważnie przyglądać się otoczeniu, dostrzeże jego obecność. Zauważy pochodzące z XVIII i XIX w. pomniki, fragmenty ulic pokryte kocimi łbami, budynki mieszkalne i użyteczności publicznej, świątynie (m. in. St. Paul Chapel, Trinity Church, Church of St. Luke in The Fields), nagrobki na przykościelnych cmentarzach, niektóre puby i lokale gastronomiczne (np. Ye Waverly Inn).

*

Jak to dobrze, że są takie miejsca (nie tylko w Nowym Jorku), które sprawiają wrażenie, że czas zatrzymał się. A jeżeli nie zatrzymał się, to przynajmniej płynie wolniej.

* Oba obrazy nie są prezentowane w McSorleyu.

Czy małe jest wielkie – o poezji Floriana Śmieji



Promocja najnowszych tomów poezji Floriana Śmieji „Dotykanie

świata” (2016) w Konsulacie Rzeczypospolitej Polskiej w Toronto, 22 listopada 2016 r. Florian Śmieja (z lewej) i Konsul Generalny Grzegorz Morawski).

Maria Magdalena Rudiuk

Florian Śmieja (poeta, tłumacz, krytyk, edytor, profesor uniwersytecki języka i literatury hiszpańskiej) jest, jak sędzę, w porównaniu do innych kanadyjsko-polskich poetów/ek wojennej emigracji, obok Bohdanowiczowej, najbardziej tradycyjny. Przy czym, paradoksalnie, czyż ta poezja nie może być uznana za wyraźną realizację postmodernistycznego wymogu rezygnacji z „grand – narratives”? To właśnie Śmieja zdecydowanie wspomaga postmodernistyczne „mini narratorstwo” – „małe” zamiast „wielkiego”, bardziej lokalność niż globalność, bardziej konkret niż enigmatyczną uniwersalność. To właśnie on – jak to znajdujemy w *Mały wybór wiersz* (s. 23) – wyznaje, *jeśli w krajobraz wchodzić masz, to z sobą i to on nakazuje* sobie czujność, aby *„nie przeszła obok / ta, co się jedynie liczy: intymność*. W świecie wyborów:

można w mroku dnia szarego

pomnażąc cuda

i trawić życie wśród bratnich zabiegów

niegłośnym trudem

(Florian Śmieja, Mały wybór wierszy, 3)

Obok, Danuty Bieńkowskiej, Zofii Bohdanowiczowej, Andrzeja Buszy, Bogdana Czaykowskiego, Janusza Ihnatowicza, Wacława Iwaniuka, znalazł się Śmieja w Kanadzie w następstwie drugiej wojny światowej. Wszyscy wymienieni twórcy byli „ofiarami” wojny. O ile jednak Iwaniuk (i w mniejszej mierze Bohdanowiczowa) identyfikuje się z postawą „ofiary”, o tyle pozostali zdecydowanie nie pozwalają sobie na zamknięcie się w tej kategorii. Śmieja bez wdziwania cierpiętniczych szat buduje w Kanadzie swój dom, nie zapominając o swoim gnieździe – Śląsku, tej specyficznej części Polski targanej, jak i reszta kraju, bolesnymi historycznymi zmianami.

TAM I TUTAJ - KULTUROWE DYSTANSE I BLISKOŚCI

Florian Śmieja pośród innych wojennych imigrantów w Kanadzie

Procesy adaptowania się w nowym kraju tak różnym od Polski i od Europy nie przebiegały bez oporów. Interesującym faktem

jest, że różnice przeżywania kulturowych dystansów i bliskości wydają się być, w dużym stopniu, różnicami generacyjnymi. Najbardziej kontrastująca różnica postaw zachodzi między najstarszymi – najdłużej zakorzenionymi (Bohdanowiczowa, Iwaniuk), a najmłodszymi – najkrócej zakorzenionymi (Czaykowski, Busza). Dla Iwaniuka problem tożsamości jest „wszystkim”, jest fundamentem myślenia i pisania, Busza jest ponad tym problemem. O ile Iwaniuk bezpowrotnie należy do utraconych miejsc, tak Busza nie przynależy do żadnego miejsca. Świadomie przyjęte, „obywatelstwo” – kulturowe Universum – pozwala Buszy i Czaykowskiemu przekroczyć wszystko to, co dla Iwaniuka było nieprzekraczalnym światem. Dla Czaykowskiego człowiek – mocarstwo wewnętrzne, a nie „miejsca” są ważne” i tak jak u Buszy nie one decydują o tożsamości.

Śmieja, najbliższy wiekowo Iwaniukowi (13 lat różnicy) oddala się od „młodszych” i zbliża do Iwaniuka. Różnic jest jednak więcej niż podobieństw. O ile jednak u Iwaniuka jest to identyfikacja z obrazem zniszczonego swojego „miejsca” (Polski), tak u Śmieji jest to, mniej obraz, bardziej konkret, mówienie wprost – bardziej o Śląsku i jego bolesnych realnościach niż życiu Polski. U Śmieji jest to najczęściej identyfikacja w wymiarze realnym, Iwaniuk operuje znakami, które mają świecić blaskiem szerszych symbolicznych znaczeń utraconego „miejsca”. W obydwu przypadkach jest to kult „miejsca”, ale zarazem uderza odmienność funkcji: dla Iwaniuka

jest to kontynuacja starej partiotyczno-niepodległościowej tradycji sięgającej do romantyków, u Śmieji jest to już nie *pars pro toto* ojczyzna, ale gniazdo – Śląsk, gdzie szuka i odnajduje prawartości siebie i człowieka.

W obydwu przypadkach jest to obrona imponderabiliów, ale dla Iwaniuka to wysiłek docierania do skarbca romantycznych znaków „ojczyzny duchowej”, próba samookreślenia się jako poety – depozytariusza prawdy, mówienie z pozycji poety – autorytetu, kontynuatora dziedzictwa, jako tego kto wypełnia nakaz, realizuje wielki testament. I w konsekwencji rozpacz, bo spełnienie misji, kontynuacja tradycji – bycia wieszczem swego narodu – jest niemożliwa, jakby nie ten czas, jakby zwyciężał paraliżujący poetyckie posłannictwo kosmiczny bezład powojennego świata – potwór Nowego Ładu burzącego dawne świętości. Głos poety – romantycznego patrioty, jest głosem wołającego na puszczy – taki jest status współczesnego poety – imigranta w Kanadzie i w reszcie Zachodniego świata. Zwyciężają „papierowe demokracje Zachodu”, a sięgając do języka postmodernistycznego – coraz głębiej ustala się podejrzliwy stosunek wobec takich wyróżnionych wartości jak: patriotyzm, narodowość czy rasa. Zaczynają one być coraz głośniej rozpatrywane jako jeszcze jeden z groźnych mitów ludzkości, które prowadzą do grozy faszyzmu i nacjonalizmu. Dorobek Iwaniuka zaś swoich dalszych konsekwencjach – jest moim zdaniem – wyrazem poetyckiego energicznego protestu i

goryczy, że nie tylko wysiłek walki zbrojnej Polaków w czasie drugiej wojny poszedł na marne, ale tradycyjny polski bojownik sprawy narodowej jest pozbawiony swojego uświęconego etosu, jakby był gatunkiem skazanym na kulturowe wymarcie, niczym kanadyjscy Indianie. Powojenny świat to proces burzenia świętego dla poety „status quo”. Nic już nie jest takie samo, „biblia nie jest biblią”.

U Śmieji jest obecne porażenie współczesnością, ale nie ma kosmicznego wyjścia świata „z normy”. Zgodzić się trzeba z Marią Danilewicz-Zielińską gdy pisze: „W poezji Śmieji w stopniu wyższym niż u pozostałych poetów grupy dochodzi do głosu przerażenie współczesnością” (Szkice o literaturze emigracyjnej, Paryż 1978, str. 333). Okres powojenny dla tego poety to dalej świat, gdzie budowanie domu jest możliwe, jak czytamy w wierszu *Nie jestem turystą* i jest to dalej świat tradycyjnych śląskich i chrześcijańskich wartości. To nie Iwaniukowy pocisk-słowo, to nie jest ton narodowej słuszności, wielkich prawd zagubionego poety, ale dominuje u Śmieji mowa ścisłym głosem pojedynczego człowieka, który nie stracił wiary, a więc nadziei w „lepsze”.

POEZJA - DEPOZYTORIUM WARTOŚCI

Kontynuator tradycyjnych wartości nie może rezygnować z postawy depozytariusza moralnych słuszności. Także obok

decyzji mówienia „ściszonego głosem” (wspomnianej rezygnacji z „grand narratives”) podmiot liryczny nosi w sobie jednak cechy *człowieka faustowskiego* – człowieka „słusznej wiary”, w którą składa swe totalne poczucie wartości i znaczenia. W poezji Śmieja przyjmuje on postawę podziwianego przez poetę człowieka z „charakterem”:

LUDZIE Z CHARAKTEREM

Przez królewicza zhańbiona Lukrecja

nie mogąc z sobą żyć ujęła sztylet;

ponoć z odrazy, że wodził pryszczatym

śmierć sobie zadał ambitny poeta.

Niebezpiecznie żyć ludziom z charakterem:

słuchają głosów chociaż niebo puste

smak cenią wśród powszechnego obżarstwa.

Kiedy przeżyją, to powiedzą o nich

nieutytlani, wstydzic się nie muszą

żadnych lustracji się nie obawiają.

Jak w porównaniu wyglądają inni

co iść musieli na drobne układy;

nie mówiąc o tych, którzy nadal w maskach

co etykietkę za waszą I naszą

sprytnie na tu I teraz pomienili?

Wpierw towarzysze, potem .liberały

z socjalistycznych trybun w kapitalizm

wiatr historii zawsze im wieje w plecy

znów na świeczniki wystawia, bezczelne

gęby chichocą pośród dygnitarzy:

że za pan brat z prokuratorem żyją

to się śmiać mogą nawet z grubej kreski.

Nie sędzę by im sen z oczu płoszyła

ręka, co pisze po nocach na ścianie

bezszytecznie: proszę państwa do gazu.

(Florian Śmieja, Niepamiętanie, 11)

Kąśliwości pod adresem bliźnich, czy złośczenia na ludzkie przywary nie są obce podmiotowi lirycznemu Śmieji, ale dominuje ton wyważonej refleksji, ton zadumy na upływem czasu i paradoksalnością ludzkiego świata:

DWA MITY

Pisaliśmy ją przez duże E

i przyrównywali do Wielkiej

bo przemożna była potrzeba

naszego wzrostu chociażby

tylko we własnych oczach.

Krwią poiliśmy maki, tułali się
w opłotkach nieczułego świata
cali zajęci sprawą czujni
rycerze za naszą i waszą.

Z pietyzmem mówiliśmy Kraj
naród cierpiący, sama esencja
bezwinnego człowieka

kamienie na szaniec godności
całopalny baranek bez zdrady
solidarna bezinteresowność
chłopcy krakowiacy wyłącznie.

Aż tu się skończył komfort dychotomiii

i znowu chochoł kazał nam się kłaniać:

stąd emigrantom do kraju nie pilno

a stamtąd nie mogą się dość nauciekać.

(Florian Śmieja, Ziemie utracone, 16)

I znowu, takie wiersze w dorobku Śmieji można uznać za paradoksalnie wspomagające, tak obce poecie myślenie znanych radykałów nowej wrażliwości (Susan Sontag - Nowa wrażliwość i inni jak Richard Gilman, Theodore Roszak...), którzy stwierdzają, że wszelkie wyjaśniania świata tak prymitywne, jak wyrafinowane (w tym racjonalnie kategorizujące) są mitami, arbitralnymi konstrukcjami ludzi na pewnym etapie rozwoju kultury, w tym ludzkiej świadomości... że wszelkie poznanie i definiowanie jest niczym innym jak tylko indywidualnym bądź zbiorowym posługiwaniem się mitem, a nawet obiektywna świadomość jest niczym innym jak tylko szczytowym osiągnięciem zabiegów mitologizujących współczesnego człowieka.

Przy całym tradycjonalizmie Śmieji, przy uznaniu umysłu zwyczajnego za podstawę poetyckich konstrukcji, tego typu wiersze bronią dorobek Śmieji przed zarzutem dogmatycznego

usztynienia. Warto zwrócić uwagę, że percepcja jakości moralnych, intuicja zła – te zwyczajne doświadczenia każdego człowieka – nie prowadzą tego poety do wysiłków wyjaśniania czym jest *malum culpae* (zło moralne) a czym *malum poenae* (cierpienia), ile raczej odnajdujemy w dorobku wiele ich poetyckich zanotowań jako sposób poszukiwania swojej tożsamości:

SPÓŹNIONA ARKA

Moja Kanada jest spóźnioną arką

gdzie się rodzaje i gatunki chronią

przed kataklizmem zagniewanych mocy,

pobożną wieżą Babel, co pobrzmiewa

pomieszanymi językami, tętni

lojalistami wielu wzniosłych celów

i kustoszami serdecznych pamiątek.

Ona ochładza rozpalone serca

co tutaj uszły po wielu pożogach,
nakarmi głodnych, pragnących nasyci;
wyrozumiałym gestem wielkodusznych
często przygarnie łotra i blagiera.

W tym kraju można uleczyć nieufność.

Nieraz bohater wojennych dramatów
mieszka naprzeciw dawnego oprawcy
donosiciela, rzecznika przemocy:

Jakby z substancji tak zgoła odmiennych
chciano wypalić nowego człowieka
żadną granicą nie obciążonego,
nie niewolnika plemiennej historii.

(Florian Śmieja, Niepamiętanie, 13)

A jednak to nie fenomen Kanady, ale kultywacja wartości plemiennych i protest wobec kulturowej deprecjacji Śląska jest wartością dominującą i bodaj czy nie istotą przesłania poetyckiego Śmieji. Śląsk to ziemia dla Polski odzyskana, ale dla poety jest utracona. To właśnie śląskie wiersze uwyrażniają najbardziej bodaj wzruszająco, że poezja tego poety jest bardziej zapisem doświadczenia niż autorytatywną wykładnią słuszności:

ZIEMIE UTRACONE

Ziemie utracone to posiadłości

najbardziej niezbywalne; żadne one

ewangeliczne marności, które mól

stoczy, zje rdza i ząb czasu nadgryzie.

One się zawsze ozywają w ciszy

nawet najbardziej strzeżonej samotni.

Wystarczy na moment zamknąć powieki

a najpełniej zaludnią twój sen. Nic to

że minął czas i narosło dystansów.

Nie ucichł dotąd turkot kół: wciąż dudni

i na wzgórzu sterczą nieme wiatraki

choć dawno zmeły swoje ziarno.

Sędziwa ciotka łaje niepogodę

której już nie ma poza jej lamentem.

Bo nic nie jest bardziej twoje niż tamto

co wtedy utraciłeś: pełne trzmieli

małe pudełko w sadzie pod jabłonką,

chude bociany kreślone niezdarnie

na podniesionym blacie długiej ławy,

u kulawego krawca szyte spodnie,

ostre miętówki z poczekalni dworca.

(Florian Śmieja, Ziemie utracone, 30)

W całościowym spojrzeniu diapazon emocjonalny w wyrażaniu człowieka i kultury XX wieku jest u tego poety optymistyczny (por. Pukaj, Notes, Odchodzenie, Wnuk...), mocno osadzony w tradycji chrześcijańskiej. Obok tonu pogody i akceptacji życia i kondycji ludzkiej, jak w humorystycznej „Drzemce”:

DRZEMKA

Zdrzemnąłem się nad wierszem Kawafisa

już przy tytule zamknęły się powieki.

Gdy otworzyłem oczy

było po wszystkim:

zdażył odejść Demetriusz

i wcale nie po królewsku

z Macedończyków nawet śladu.

Wiele się może zdarzyć kiedy śpimy

nie wolno zasypiać

nie tylko gruszek w popiele.

(Florian Śmieja, Niepamiętanie, 9)

nieobce mu są jednak melancholijne refleksje o kruchości życia – „jesieni”, ani ton kogoś, komu nieobce są grzechy ludzkie:

KUSZENIE

Ledwo uszedłem z Babilonu

lecz nawet tutaj

gwar słyszę wśród traw

i pośród lilii polnych

że Salomon

nie był taki nagi

jak głosi przypowieść

że lepiej być ziarnkiem piasku

w stołecznej klepsydrze

niż młyńskim kamieniem

w kresowym miasteczku.

Nie bywam na kawie

więc nie wiem dlaczego

tylu geniuszów chodzi incognito.

Nie ma mnie na schadzkach

rosnącego w oczach

klubu nieproduktywów.

Porażka moja będzie zawiniona

osobista, bez ciotki w gazecie.

Koniec niechlubny od rynku

daleko. Nie słyszeli tu nawet

o taryfie ulgowej a pisanie

wierszy jest obciążeniem

wstydlwym.

(Florian Śmieja, Niepamiętanie, 30)

Śmieja uniknął sideł nihilizmu (Iwaniuk, Bieńkowska), ale uobecnia się w jego dorobku dramat ludzkiej niemocy, bezradności:

UCIECZKA

Uszedłem poza zasięg złości

w ustronne lasy.

Zaszytego w gałęziach

telefon nie znajdzie

i nie przyniesie listu cierpkiego

dzięcioł.

Więc tylko myśl

której ujść nie podobna

więc jeno żal

że ręka do podania stworzona

w pięść się zaciska

a uśmiech

liściem spada uwiędłym.

I jak nie zazdrościć

topolom

że rosną prosto

ptakom

że zamiast złorzeczyć – śpiewają.

Jak nie zazdrościć

mimo że wiem

że i we mnie

drzemią trele skowronków

i smukłość drzew.

Mimo że wiem

nie mam

nie mam odwagi

sięgnąć tak głęboko.

(Florian Śmieja, Kopa wierszy, 58)

ŻYCIODAJNE ŹRÓDŁA ŚMIEJOWEGO ŚWIATA

Przy dzisiejszym zagubieniu aksjologicznym, zanikaniu wiary w obiektywną zasadność znaczeń , a w ślad za tym tradycyjnych sposobów nadawania światu sensu, właśnie temu poecie jakby

udaje się omijać zawikłania współczesnej świadomości i pozostać wiernym prostocie wiary, że życie jest obdarzone znaczeniem:

ZALECENIA NA WALNY ZLOT ANIOŁÓW

Tak żyć, aby było jaśniej

innym.

Brać tyle

by nie ubyło nikomu.

Czekać, choć wiesz,

że nikt do ciebie nie zapuka.

Wierzyć w człowieka

właśnie, bo zawodzi.

(Florian Śmieja, *Wiersze*, 78)

Ten poeta omija całą plątaninę modernistycznych i postmodernistycznych zawiłości człowieka i kultury, aby

pozostać w sferze prawd wzruszająco prostych i powiedzieć to,
co dawno odkryte i dalej aktualne:

STAŁOŚĆ CZŁOWIEKA

Biskup saksoński Wulfstan

wołał na progu milenium:

nie lękajcie się, głupi,

siekier ani mieczy

rogatych duńskich rozbójców;

nie trwóźcie się,

kiedy dzioby łodzi

ryją się w wasze brzegi

lejąc po siołach pożar.

Pana się bójcie, rozwiążli,

co pełne macie komory

i skrzynie a ciało

jedno i brzuch.

Stamtąd pewniejsza zagłada,

śmiertelniejsze zniszczenie.

Powtarzam jego słowa

sprzed lat tysiąca,

nic zmieniać nie trzeba.

Stać kondycji człowieka

oszczędza wiele zachodu.

(Śmieja, *Wiersze wybrane*, 38)

Czy w dzisiejszym postmodernistycznym świecie taki tradycjonalizm podejścia ma status klasycznych staroci, czy jest w tym coś więcej? Śmieja, nie kwestionując stałości kondycji

ludzkiej, przeciwstawia się tym samym współczesnemu relatywizmowi, współczesnemu rozumieniu wartości w kategoriach historycznych. Czy faktycznie w dzisiejszym świecie taki głos jest anachronizmem? Czy raczej taki poeta jest jednym z tych, którzy unaoczniają kulturowy sens wartości ciągle jednak dalej podstawowych?

Dramat współczesnego człowieka wywołany brakiem wiary w transcendentálny porządek omija tego twórcę. Czyż taka tradycyjna postawa nie jest dzisiaj rzadkością? Ten poeta pisze tak, jakby cała postmodernistyczna aktywność destrukcyjna tego, co nazywamy „tradycją” nie dotknęła go. Jakby stare i najnowocześniejsze „zagrożenia” omijały tego szczęściarza:

SZCZĘŚCIARZ

Tyłu umarło z byle powodu

a on się uchował

z nieznaczną blizną na szyi.

Innym nie trzeba było wiele

gdy sam przez okno wypadł

z cegłami w zawody

tylko strachu się najadł.

Widział bomby lecące

prosto na niego

ale zginęli tamci.

Kiedy się zatrzasnęła

żelazna kurtyna.

został po dobrej stronie.

W asyście mglistej pamięci

może o sobie wspominać

bez niewygodnych świadków.

(Florian Śmieja. *Wiersze wybrane*, 66)

Jak to się więc stało, że ani wypadek z dzieciństwa, ani przymusowe roboty, ani okropności drugiej wojny, ani powojenne warunki w Anglii czy wreszcie stabilizacja w Kanadzie, ani modny i wdzierający się do dusz wszystkich postmodernizm nie zasiały spustoszenia albo co najmniej nie nadwątlili jego przekonań o sile tradycji? Jak to się stało, że te doświadczenia nie zostawiły śladów w postaci niepokoju wobec pewności rozumienia tego, co określamy „normalnością”?

Iwaniuk, aby przywołać go dla kontrastu, poszedł w zupełnie przeciwną stronę. Mimo oporów wobec nowej kultury to katastrofizm, postmodernistyczny apokaliptyzm okazał się dla niego właściwym twórczym kontekstem – znalazł się tam jak w „domu” dla wyrażenia tragizmu człowieka drugiej połowy XX wieku. Iwaniuk nie podźwignął się po przeżyciach drugiej wojny światowej i po powojennej zdradzie aliantów („oddaniu” komunistom jego kraju), nie podźwignął się już po gwałcie odłączenia od życiodajnego źródła – ojczyzny. Nie ukoila go stabilność kanadyjska, co gorsza, może właśnie ta kanadyjska stabilność normalności dla kogoś, kto przeżył wojnę i utratę kraju, była tylko jedną z późniejszych przyczyn zgorzknienia?

Wszystkie te fakty są ważne, ale mnie interesuje głównie znalezienie odpowiedzi na pytanie: jak to się stało, że powojenna kanadyjska rzeczywistość u Iwaniuka staje się światem zanikających znaczeń? Światem, w którym coraz bardziej

dominującą wartością okazuje się bezsens? Podczas gdy o dziesięć lat młodszemu Śmieji ta sama tradycja „gniazda” pozwala zachować w tej samej Kanadzie jasne tony tak w poszukiwaniu, jak w znajdowaniu tego, co najważniejsze w życiu człowieka – sensu? Zaś u pozostałych młodszych twórców ta tradycja gniazda staje się bardziej ważną metryką językowo-kulturową (sygnalizującą ich odmiennność w nowym świecie), niż sferą mocnych aksjologicznych identyfikacji.

„MAŁE JEST WIELKIE”

Obok różnic wieku, osobowości, doświadczeń, wdrożeń intelektualnych i artystycznych, najbardziej intrygujące są dla mnie odmienności wyposażen „miejsc”, odmienności aksjologicznego ekwipunku wyniesionego z „domu”. W konsekwencji widzimy różnorodność, można wręcz powiedzieć kontrastującą odmiennność ukształtowań, co dowodzi tylko bogactwa polskiej kultury.

Ten ekwipunek domu w przypadku Iwaniuka nie stał się konstruktywny, nie pomógł mu unieść ciężarów życia (choć jednocześnie uaktywniał go twórczo). W przypadku Floriana Śmieji właśnie ta siła „gniazda” okazuje się źródłem życiowych mocy. Bo to właśnie tam (vide: Marek Pytasz, Florian Śmieja, *Wiersze wybrane*, Posłowie), na Śląsku, w obszarze pierwotnych wartości, tkwią korzenie Śmiejowej praufności, że życie ludzkie obdarzone jest sensem. Jego zwyciężający wszelkie przeciwności

naturalny, znajomy, ziemski, nieuginający się w żadnych okolicznościach zdrowy rozsądek jest właśnie śląskiej proveniencji. To właśnie, obok chrześcijańskich wartości, tradycja śląskiego szacunku dla pracy, pokora wobec „twardego” życia, zachowanie we wszystkich okolicznościach właściwej miary widzenia – zdrowego rozsądku, pozwala mu widzieć świat taki, jakim jest w swoim zastanym pięknie i w jego możliwościach „upiększania”. W dorobku tego poety odnajdujemy bardzo wyraźne wyeksponowanie wartości życia zwykłych ludzi pracy. To jego twórczość może być uznana za ekspozycję postmodernistycznego „małe jest wielkie” .

W jednym ze swoich wierszy „Wyborni mistrzowie” Śmieja pisze:

WYBORNI MISTRZOWIE

Wyborni byli majstrowie

schludnych śląskich osad

miasteczek z kolorowych klocków.

Onegdaj znajomy proboszcz

pokazywał zdjęcia

frontony starych domów

sacrum u szczytu oddzielne

misternie wymodlone kielnią

i rozumieniem rzeczy ostatecznych.

Błogosławieni, którzy stawiają

kamień na kamieniu

gromadzą budują mnożą.

Ich ciche imiona przetrwają

Wandali Tatarów i nowszych szabrowników.

(Florian Śmieja, *Niepamiętanie*, 8)

Poeta swój program zdroworozsądkowego, realistycznego minimalizmu uaktualnia tak w świecie „tutaj”, jak „tam” i może dlatego nie daje się zwieść żadnym Wielkim Sprawom, Jedynym

Słusznościom, żadnym zbiorowym zaczarowaniom. Przeciwnie, jest w tym dorobku czytelne przekonanie o głębokim sensie zwyczajnych celów, tego wszystkiego, co zawsze było i jest sprawą zwyczajnych ludzi. Jest tam obecne przesłanie „małego”, ale solidnego gospodarowania życiem takim, jakie jest ono dane człowiekowi.

W tej postawie można dopatrzyć się kontynuacji starej tradycji myślenia, wynikającej z etymologicznego znaczenia słowa „kultura”. Jest to myślenie, że ludzka aktywność jest aktywnością kulturową, a więc uszlachetniającą zastany świat. Choć poeta nie wyraża tego *expressis verbis*, jednak przebija się to przekonanie przez cały jego dorobek. Skoro uszlachetnianie / kultywowanie, to ludzka aktywność jest nie byle jaką aktywnością, to nie jest wszelka aktywność, ale tylko ta, która jest moralnym zobowiązaniem do zmiany ulepszającej. Praca „wybornych mistrzów” jest jednym z przykładów tak rozumianej aktywności – dobrej, solidnej pracy, a więc tego, co przez wieki stanowiło fundament w odnajdywaniu sensu życia indywidualnego i społecznego, co jednocześnie – jak sądzę – decydowało o euro-amerykańskiej dynamice kulturowej.

Przy tak rozumianym etosie aktywności jako pracy (aktywności celowej, racjonalnej, ulepszającej) czym jest aktywność poetycka? W „Moim wierszu” poeta wyjaśnia, że jest to „nazywanie głosem ściszonej”:

aby nie pogubiła się

choćby najskromniejsza rzecz

za którą potrzebujący kupi

chleba, schronienie, spokój.

Bo ona mnie obroni.

(Florian Śmieja, *Wiersze wybrane*, 35)

SKRZĘTNY GOSPODARZ SENSU

Żyjemy w czasie traconej wiary we wszystko. Dziś każdy może się szczycić brakiem sensu, autentyczności, zagubieniem, każdy może być pozbawiony wolności i osobowości, przeżywać dojmująco tragizm swojego czasu... Przyznanie prostocie (by nie powiedzieć rutynie) codziennych prac – celów statusu tak wysokiego, jak nadawanie sensu ludzkiemu życiu, wydaje się programem mało atrakcyjnym, zbyt minimalistycznym, trąci myszką o pozytywistycznej proweniencji. Może w protestanckiej części Zachodu byłoby to zjawisko kulturowo „normalne”, ale nie dla Polaka, który (jak mówił filozof Kotarbiński) „wielki duchem nie dba o to, co mu się płacze po podłodze”.

A jednak Śmieja – Ślązak – Polak – Kanadyjczyk uparł się, aby szukać wielkości właśnie tam, gdzie rzadko kto jej szuka – w zwyczajności, w codziennym trudzie ludzi. I jest to jeden z solidnych fundamentów także polskiej tradycji, tradycji nazywanej ludową w opozycji do tradycji szlacheckiej.

Jeśli więc ten twórca szuka wielkości, to raczej w „małym” – w tradycji codziennej solidnej pracy. Właśnie tam, bo „małe”, ex professo, z racji swojej natury małego, jest osiągalne – realne, namacalne, prawdziwe, od setek lat wypełniające życie tzw. zwyczajnych ludzi. Stara maksyma „ziarnko do ziarnka, a zbierze się miarka” jest przekonaniem mocno zakorzenionym w myśleniu poety.

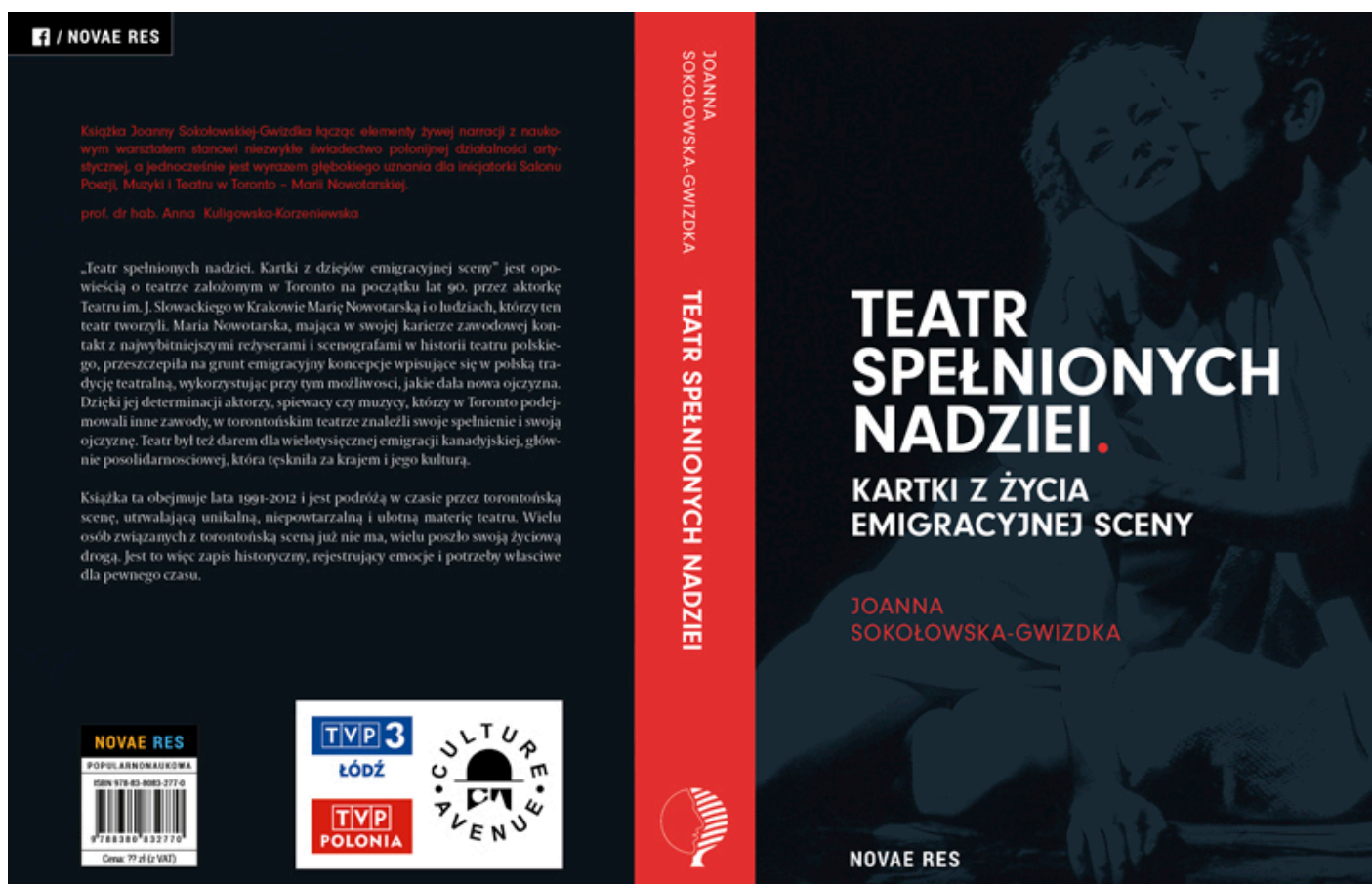
Dzięki temu programowi – jak sądzę – trudy życia, wojenny szok, powojenna dynamika światów „tutaj” i „tam” były także łagodzone jak każde inne cierpienie. Bo jest to program codziennej krzątającej się dzielności, dyscypliny, racjonalnej hierarchii względów, balansu nie wykluczającego pisania wierszy.

Czy program Śmieji to mało? – mógłby ktoś zapytać. Śmieja nie proponuje wielkich celów, wielkich sensów. Raczej solidność wszystkich naszych dziennych spraw, sens małego, ale możliwego do zrealizowania, możliwego do wypełnienia i nadania ludzkiemu życiu godnego kierunku. Czy nie tędy droga?

Zwłaszcza po tylu bolesnych mitologicznych za-czarowaniach i rozczarowaniach?

Jednym z głównych elementów różnicujących postawy twórcze polsko-kanadyjskich poetów jest w moim przekonaniu zagadnienie „sensu”. Rozumienie i NIErozumienie, wątpliwości, artystyczne rozstrzygnięcia i niedopowiedzenia są uobecniane w dorobku każdego z poetów. W całościowym oglądzie można umieścić Iwaniuka, Bieńkowską na jednym krańcu (z jego przekonaniem o bezsensie świata i człowieka), Śmieję na zupełnie odległym i przeciwnym końcu. Czaykowski, Busza, Ihnatowicz znaleźliby się pośrodku, choć wcale nie w jednym i tym samym miejscu. Ci ostatni są ciągle w drodze. Są bardziej bohaterami wypraw po „złote runo” niż ofiarami wypraw (Iwaniuk, Bieńkowska), bądź, bez rezygnowania z dalekich wypraw, skrzętnymi gospodarzami sensu bliskiej, zapobiegliwej codzienności (Śmieja).

„Teatr spełnionych nadziei”



Dorota Ceran

Autorke książki znam tak długo, jak żyję. Przypadek zrządził, że urodziłyśmy się w tym samym mieście, w tym samym szpitalu i w tym samym mniej więcej czasie. Uzmysłowałyśmy to sobie po latach, przy jakiejś wspomnieniowej pogawędce. Potem los sprawił, że chodziłyśmy do tej samej klasy w szkole podstawowej, do tego samego liceum i obie skończyłyśmy filologię polską.

Ale w życiu dojrzałym nasze drogi się rozjechały. Dosłownie, nie metaforycznie. Za sprawą Joasi, która wyjechała do Kanady, do męża, a potem przeniosła się wraz z nim do USA. Wiedziałam, że jako były pracownik naukowy związany z Uniwersytetem Łódzkim i dziennikarka zajmująca się kulturą, z pewnością nie porzuci swoich zainteresowań, nawet na drugim końcu świata.

I faktycznie, mieszkając w Toronto pracowała dla polskiej gazety o nazwie... „Gazeta” i redagowała jej dodatek kulturalny pt. „List Oceaniczny”, gdzie nadal, już z teksańskiego Austin, przesyła do druku swoje teksty.

Jest osobą, jakich dziś już mało. Zafascynowaną wielkim światem polskiej arystokracji, życiem ziemiaństwa, krakowskiej bohemy, narodowej tradycji i sztuki. Wydawałoby się – banał, może trochę fanfaronady, może ciut egzaltacji... Nic z tych rzeczy. Joasia jakoś tak potrafi powiedzieć słowo „narodowy”, że nie pobrzmiwa w nim żadna nacjonalna nutka, mówi „arystokracja” i nie ma to nic wspólnego z dziwaczными (w mojej ocenie)

wizjami rodzimych monarchistów. Być może lata spędzone za Wielką Wodą sprawiły, że nie jest skażona naszymi tubylczymi wojnami, złośliwościami i szowinizmem tzw. prawdziwych Polaków. Jak Joasia mówi, że ktoś jest Polak prawdziwy, to słyszymy w tym Chopina, Miłosza, Szymborską, a nie wrzaski łyśszych matołów spod znaku Falangi.

W ostatnich dniach ukazała się książka Joasi pt. „Teatr spełnionych nadziei. Kartki z życia emigracyjnej sceny” i myślę, ba! jestem głęboko przekonana, że wszystkim nam tej książki bardzo potrzeba.

Jest to znakomicie napisane, piórem tyleż lekkim, co precyzyjnym w opisie konkretnych faktów, kompendium wiedzy o emigracyjnym teatrze pod nazwą Salon Muzyki, Poezji i Teatru założonym i prowadzonym w Toronto przez aktorkę – Marię Nowotarską. Artystka zaangażowała do współpracy córkę – Agatę Pilitowską i wielu polskich twórców scen, żyjących na emigracji. Teatr gości też wybitnych aktorów i muzyków z Polski, którzy przyjęli od Salonu zaproszenie do udziału w spektaklach.

Co mnie urzekło, to to, że scena (teatr nie ma swojej siedziby, gra gościnnie) wystawia sztuki, które bazując na filarach polskiej tradycji artystycznej, nie ocierają się w żadnym razie o banał. Salon nie odwołuje się do politycznej, społecznej ani żadnej innej

rzeczywistości Polski dnia dzisiejszego, trwając w twardym kanonie tradycyjnych kamieni milowych naszej literatury i naszych symboli. A mimo to jego repertuar nie ma w sobie cienia infantylnej, szkolnej akademii. Z zasobów kulturalnego skarbca czerpie i aranżuje to, co najlepsze dla potrzeb swojej sceny i emigracyjnego odbiorcy. Ale nie tylko on jest adresatem – okazuje się, że sztuki tłumaczone na angielski, gromadzą sporą, amerykańską widownię.

Książkę, dość obszerną (ponad 500 stron) czyta się jednym tchem, niczym powieść z wartką akcją. Autorka przywołuje chwile radości i zwątpienia, sceny tragiczne, nieodparcie śmieszne, jak choćby niezamierzone, wynikające z pomylenia elektronicznych przycisków w scenografii, pojawienie się wizerunku Matki Boskiej podczas spektaklu o nieco frywolnym kontekście.

Potrzeba nam jest, jak sędzę, takiego czystego, ożywczego powiewu niezohydzonej polskości. Może, by go wywołać, faktycznie trzeba być daleko stąd?

Joanna Sokołowska-Gwizdka, Teatr spełnionych nadziei. Kartki z życia emigracyjnej sceny, wyd Novae Res, 2016 r.

Książkę można kupić w księgarniach internetowych i

stacjonarnych w Polsce, m.in. w sieci księgarni Empik. Za granicę wysyła księgarnia Gandalf:

<http://www.gandalf.com.pl/b/teatr-spełnionych-nadziei/>



Dorota Ceran

Dorota Ceran, dziennikarka prasowa i telewizyjna, przez wiele lat związana z Telewizją Polską Łódź. Autorka książki „Smutku nie cenią w Neapolu” (wyd. Novae Res). Córką wybitnego historyka, profesora Uniwersytetu Łódzkiego, specjalisty od starożytności, Waldemara Cerana. Jego imieniem został nazwany

ośrodek badawczy przy Uniwersytecie Łódzkim „Ceraneum” –
Centrum Badań nad Historią i Kulturą Basenu Morza
Śródziemnego i Europy Południowo-Wschodniej.